№ 10. Warszawa, dnia 5 Marca (21 Lutego) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Złota Nr. 23.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

POLITYKA BEZWŁADNOŚCI.

Śród ogólnej trwogi, śród wrzawy wróżb prywatnych i znaczącego szeptu półurzędowych, ciągle przepowiadających wojnę, niepostrzeżenie dla świata odbywa się dobijanie narodowości polskiej w Poznańskiem. Urzędników do niej należących, a zwłaszcza nauczycieli rząd tłumnie przepędza w prowincye czysto niemieckie, nie oszczędzając nawet tych, którzy dochodzą już do emerytury i dla których takie nagłe, na krótki czas przesiedlenie staje się zupełną ruiną. Wyprzedać w ciągu paru dni wszystkie ruchomości i nieruchomości po to, ażeby rok przesłużyć w Westfalii lub Hanowerze — jest to zniszczyć owoce długoletniej pracy.

Pod wezwaniem „ojca św.," który ks. Bismarkowi coraz życzliwiej pomaga w tępieniu katolików, a nawet—jak telegraf donosi—przez arcybiskupa Dindera polecił ks. Jażdżewskiemu, jednemu z najenergiczniejszych członków Koła polskiego, zrzec się mandatu poselskiego — pod owem tedy wezwaniem kanclerz szybko wznosi świątynię giermanizacyi, w której głównym ołtarzu umieści obraz św. Leona. Sejmowi pruskiemu przedstawił projekt nowego podziału administracyjnego (powiatów) w prowincyach polskich. Chodzi o to, ażeby przez rozdrobnienie obwodów pomnożyć ogniska władzy i jej wpływy oraz przez sztuczne zlepki ludności niemieckiej z polską osłabić siłę tej ostatniej. Naturalnie dzieło tak serdecznie pobłogosławione przez papieża zyska uznanie sejmu pruskiego, zwłaszcza że w nim rząd ma posłuszną większość. Chociaż więc projekt odesłany został do komisyi, możemy go już dziś uważać za przyjęty, czyli *coup de grâce* za dokonane.

Nie zamykajmy jednak oczu na odwrotną, może jeszcze smutniejszą stronę tego sromotnego medalu. Już dziś nawet z pism, zacierających błędy i winy rodzinne, wychyla się przekonanie, że do niedoli swojej przyczyniają się poznańczycy sami bądź przeniewierstwem, bądź nieudolnymi zabiegami, bądź bezprzykładną obojętnością. Usuwamy na bok tyle razy opiętnowaną sprawę dobrowolnej sprzedaży majątków komisyi kolonizacyjnej, a zastanowimy się nad podjętą walką. Gdy w sejmie pruskim wniesiono projekt pokrajania powiatów na obwody drobniejsze, wystąpił przeciw niemu poseł Leon Czarliński, ale jak wystąpił! Trudno wyobrazić sobie łagodniejsze stękanie. Zdawało się, że mówca, zajęty „sytuacyą" ogólno-europejską, nie mógł ocenić ważności tego drobiazgu, zebrać uwagi swojej i zaprzątać cudzej; zdawało się, że w duszy czuje wyrzut: w chwili kiedy się rozstrzygają losy świata, ty będziesz toczył bój o jakieś tam powiaty? Właściwie jednak słabość tej elegii wypłynęła głównie z uzdolnień szan. posła, który ze swoimi towarzyszami dzieli skromne dary krasomówcze. Koło polskie w Berlinie nie ma swego Richtera lub Windhorsta; dotąd rzecznikami jego byli ludzie dobrych chęci, ale niewielkiej mocy duchowej i słownej. Ich przemówienia dawały Izbie wypoczynek i sposobność do głośnej rozmowy.

Jeżeli porównamy wytężoną, niezmordowaną, do wszelkich ofiar gotową agitacyę wyborczą niemców z niedbałem, lekceważącem i dumnem zachowaniem się polaków, możemy tylko dziwić się, że ci ostatni stracili zaledwie parę stanowisk. Niedawno przytaczaliśmy z korespondencyi *Czasu* filozofię lordów poznańskich, którzy poczytują za krzywdę dla swej godności stawanie przed wyborcami i zyskiwanie ich przychylności. Już i tak jest źle — twierdzą oni — że pan zależy od głosu chłopa, a jeszcze gdyby zaczęto psuć prostaka staraniem się o jego łaskę— przepadłaby korona społeczna. Niepodobna bezwstydniej obnażyć swej pychy i nierozsądku, a jednak ten cynizm nazywa się w Poznańskiem polityką. Panowie, przekonani, że ich chłopstwo ma obowiązek głosować za nimi, nie fatygują się do wyborców i czekają w spokojnej dumie należnego im zaszczytu. Jak dalece stosowano tę zasadę obojętnej pychy w ostatniej kampanii, gdzie trzeba było wytężyć całą energię wpływów, starań i zabiegów — co uczynili niemcy — świadczy korespondent *Gazety polskiej*. Tak np. do jednej miejscowości nadesłano karteczki wyborcze na kandydata polaka, postawionego w *innym* okręgu. Ale czytajmy sprawozdanie: „Niemało wyborców — pisze korespondent — przyszło z karteczką do urny, aby w ostatniej chwili dowiedzieć się, że nazwiska ich nie zostały zamieszczone w spisach. Mężowie zaufania (!) i wyborcy powinni byli z dawniejszych lat pamiętać o tem, że takie wypadki często się zdarzają a mimo to nie zajrzeli do spisów, aby się przekonać, czy wszystkie nazwiska są zamieszczone; a jednak spisy wyborcze są wszędzie przez kilka dni na widoku publicznym, aby wyborcy mogli dopilnować tego. Wobec takiej opieszałości trudno się dziwić, że w Świecu i Grudziądzu niemcy zwyciężyli, choć tam dawniej nieraz polacy pokonywali przeciwników." Tej zaś opieszałości przeciwstawić należy fakt, że niemcy (katolicy) odbywają czasem długą podróż dla oddania swych głosów kandydatowi polskiemu.

Zapewne, zważywszy cały warsztat giermanizacyi i jej niszczące środki, trudno powiedzieć, że poznańczycy są kowalami własnego losu, ale że oni go również kują, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie ich wina, że im natura nie dała wielkich talentów politycznych i krasomówczych, ale ich wina, że nie chcą zejść ze swych szczytów pańskich do ludu, który głównie ratuje zagro-

żoną ziemię i opiera się wynarodowieniu, że zaniedbują podstawy życia, że w chwilach rozstrzygających nie okazują potrzebnej zabiegliwości i męztwa, że ciągle Opatrzności każą się wyręczać w pracy. Słyszelimy wymówki: co pomagają wszystkie wysiłki parlamentarne, jeśli każdy projekt rządowy jest z góry przez większość wrogą zdecydowany; ale w takiem samem położeniu setki razy znajduje się mniejszość niemiecka sejmów: centrum, postępowcy, demokraci itd., a jednak nigdy nie ustępują z pola, dopóki nie wystrzelą ostatniego naboju. Doświadczenie zaś dowiodło, że prędzej czy później wytrwałość taka osiąga swój skutek. Richter, wódz partyi postępowej, w sejmie pruskim zakłada tylko protesty bezsilne a w niemieckim stać będzie teraz na czele mało liczniejszego zastępu, niż polski; mimo to jego świetne mowy, gruntowne krytyki projektów rządowych, głośne obwoływanie gwałtów, mocną ręką zadane ciosy samowoli — nie przebrzmiewają daremnie zarówno w opinii krajowej, jak i europejskiej. Rezultaty dawniejszych wystąpień Hausnera w wiedeńskiej Radzie państwa przekonywają, że i posłowie polscy mogą na tę opinię oddziałać. Ale na to potrzeba innych ludzi, mniej zatopionych w swej wielkości, mniej gardzących ludem, a przytem lepszych strategików politycznych, niż są przedstawiciele poznańscy. Oby tam co najprędzej ukazał się wielki umysł, jakiego wymagają trudne warunki życia i działania.

REFORMY POLITYCZNO-SPOŁECZNE

Koła polskiego w Wiedniu.

Wiedeń, 25 lutego.

Miliony nadzwyczajnych kredytów wojskowych uchwalone zostały w austro-węgierskich ciałach prawodawczych jednogłośnie i prawie bez żadnej rozprawy z grzeczności dla korony i dla ujawnienia „patryotyzmu"; lecz z ustawą, ubezpieczającą robotników na wypadek choroby, nie umie Izba posłów dać sobie rady. Sprawa ta przybierać zaczyna iście kształty węża morskiego. Odnośna ustawa, zawierająca kilkanaście paragrafów, stoi już od trzech tygodni na porządku dziennym obrad parlamentarnych i dotychczas załatwiono z niej tylko siedm paragrafów, pozostawiając resztę na czas późniejszy, kiedy Rada państwa zbierze się ponownie po nadzwyczajnej sesyi delegacyjnej. Mając na uwadze wielką ważność ustaw, obejmujących reformy społeczno-polityczne, możnaby wyrazić uznanie gruntownej skrupulatności, z jaką austryacka Izba poselska traktuje ten przedmiot, przypuszczając zarazem, że chodzi jej przytem o poprawę przedstawienia rządowego. Tak jednakże nie jest. Owszem, rzecz ma się wręcz przeciwnie. Zwłoka, wypływająca z drobnostkowego wnikania w szczegóły projektu, nie oznacza bynajmniej poprawy, lecz jest tylko pogorszeniem wniosków rządowych na niekorzyść ludu pracującego. Dla nas przedstawia się kwestya tem smutniej, że właśnie Koło polskie jest główną przeszkodą spieszniejszego pochodu obrad i że z jego łona wychodzą roje poprawek na szkodę robotników. Większość Koła, składająca się z feodałów szlacheckich, właścicieli „obszarów dworskich" i z zastępu ciurów zaciężnych w służbie dwóch wymienionych kategoryj, zlękła się, jak byk toreadorów czerwonego sukna, nie prawie nieznaczącego zastrzeżenia w ustawie, orzekającego, że „minister spraw wewnętrznych ma prawo, jeśli uzna tego potrzebę, rozciągnąć w pojedynczych krajach ubezpieczenie w wypadku choroby także i na robotników rolniczych i lasowych." Biorąc pobudkę z takiej „herezyi socyalnej," ujęło nagle, ni stąd ni zowąd, Koło polskie sterowanie łódki reformatorskiej. Panowie „szlachetnie urodzeni," przyzwyczajeni zresztą, w kierunku społecznym do wykonywania prawa „propinacyi" i osławionych „porcyj," (które swojego czasu nawet taki konserwatysta, jak hr. Stanisław Tarnowski, wystawił pod publiczny pręgierz pogardy), przez jedną noc stali się „fachowymi." Wysypali tedy, jak z rogu obfitości, przy szerokiej i długiej rozprawie cały szereg poprawek i poprawieczek do poszczególnych paragrafów ustawy, których treścią jest: trzymać kabzę rzetelnie zamkniętą, ażeby z niej nawet jeden gulden nie wyfrunął na złagodzenie cierpień, na osłodzenie przechodnie nędzy tych nieszczęśliwych, którzy, jak zwierzęta juczne, przez całe życie ciągnąć muszą w pocie czoła, o chłodzie i głodzie, rydwan obcego dostatku i szczęścia.

W ostatnim liście zaznaczyłem już, że społecznym reformatorom Koła chodziło przedewszystkiem o zupełne usunięcie z pod dobrodziejstw ustawy robotników rolniczych i leśnych i że w tym celu wymyślili „specyalne ustawy krajowe," ażeby autonomicznym liściem figowym zakryć dla przyzwoitości na zewnątrz nagość egoizmu koteryjnego. Gdyby przynajmniej na tem poprzestano! Ale gdzie tam. Ajaksowie „środka" sejmowego „*braciaszki*" Czajkowscy, sekundowani przez p. Dawida Abrahamowicza, a w szczególności przez p. Starzyńskiego, poszli znacznie dalej w kierunku raz oznaczonym, żądając, żeby wysokość płacy dziennej robotnika oznaczano „w porozumieniu z władzami autonomicznemi, i żeby do zarządu kas dla chorych robotników wolno im było wybierać także i „chlebodawców." Tym sposobem będzie jaśnie wielmożny marszałek powiatowy dyktował po prostu na korzyść „obszaru dworskiego" wysokość płacy dziennej, zarządy kas znowu przejdą pod wyłączne panowanie przedstawicieli „dworu" podobnym sposobem, jak ten, który jest w użyciu przy wyborach z gmin wiejskich a tyle się okazał skutecznym, że szlachta wszędzie z ciał reprezentacyjnych wyparła prawie zupełnie chłopów, nie mówiąc już o robotnikach. Ci w większej, bo bezpośredniej pozostają od „pana" zawisłości, tym „pan wokomon" za najmniejszą nieuległość „wygarbowałby" grzbiet pletnią *ad majorem gloriam* „stosunków patryarchalnych," „zasady autonomicznej" i kaduk wie, czego jeszcze. Oddanie kas dla chorych robotników pod zarząd „chlebodawców," zamierzone przez Koło polskie, przedstawia jeszcze jedną złą stronę, gdyż odnośna poprawka ma być obowiązującą w całej Austryi i objąć wszystkich robotników fabrycznych. Wsteczna ta dążność natrafi więc na głośne oburzenie wszystkich stronnictw liberalnych, postępowych, demokratycznych i masy pracującego ludu w całem państwie, ściągając złorzeczenia na Koło polskie i przynosząc w następstwie straty moralne, których z pewnością nie zrównoważy oszczędzenie odrobiny pieniędzy, spowodowane interwencyą p. marszałka powiatowego przy oznaczaniu wysokości płacy dziennej albo też działanie „chlebodawców" w zawiadywaniu kasami dla chorych robotników.

POWIEŚĆ.

MURARZ.

Ach, ten stuk, ten łomot, te krzyki na ulicy właśnie naprzeciw mego okna, wypędzają wszelką myśl z głowy, nie dają mi ani na chwilę spokoju, odrywają od pracy! I nigdzie nie mogę skryć się, schronić od tego nieustannego stuku. Od rana do wieczora brzmi on, a gdy się położę spać, zmęczony dziennym upałem, słyszę go wyraźnie nawet we śnie jeszcze. I to tak już przez całe dwa miesiące. Odkąd naprzeciw moich okien zaczęli murować tę nieszczęsną kamienicę, nie napisałem ani jednego wiersza.

Nie mogąc sam robić, siadam codzień w oknie i patrzę na robotę drugich. Widok ruchu, biegania, pracy kilkudziesięciu ludzi, którzy kręcą się i męczą w tym ciasnym zakątku, jak mrówki w mrowisku, uspokaja nieco moje rozdrażnione nerwy. Lżej mi się robi, gdy widzę, jak pod rękami tego roboczego ludu zwolna rośnie wielki budynek, dźwigają się jego mury, syczy i kurzy się wapno gaszone w wielkich z desek zbitych skrzyniach i spuszczane następnie do dołów, jak murarze ciosają cegły, dopasowując je do przeznaczonego miejsca, jak kobiety i dziewczęta noszą cement w cebrzykach z przetkniętym przez ucha drążkiem, jak pomocnicy, wygięci w kabłąk, na drewnianych noszach, jarzmem włożonych na kark, dźwigają cegły w górę na rusztowanie. Cała ciężka codzienna praca tych ludzi przechodzi przedemną, jak chmura; słysząc ich krzyki, żarty i rozmowy, zapominam o sobie samym; zda się, że tonę w jakimś bezbrzeżnym, nieprzejrzystym tumanie i prędko upływa godzina za godziną, dzień za dniem.

Tylko ci podmajstrzy ze swym krzykiem, ze swą zawziętością, grozą i samowolą nad robotnikami, wyrywają mię z tego mglistego tumanu, przypominają żywo brzydką rzeczywistość. Dwóch tylko, a mimo to wszędzie ich pełno; wszyscy robotnicy milkną i chylą się, gdzie tylko który z nich przechodzi. Niczem nie można im dogodzić, na wszystko mają gotowe „besztanie," gniewne, pogardliwe słowo. A niechno który robotnik poważy się odpowiedzieć, bronić siebie lub towarzysza! Natychmiast twarz pana podmajstrzego nabiega krwią, z ust pryska piana — i nie daj Boże nikomu w tej chwili być w skórze winowajcy! Jeszcze dobrze, gdy mu pozwolą cierpieć, gdy nie odpędzą w tej chwili od roboty! Na miejsce jednego natychmiast znajdą czterech, którzy jeszcze napraszać się będą o przyjęcie.

Obecne lato, to żniwo dla podmajstrzych! Tylko wybieraj i z płacy urywaj, ile chcesz' nic ci nie powiedzą, a gdy który chce poskarżyć się budowniczemu — precz z nim, niech ginie z głodu, gdy nie chciał być pokornym.

Jednego dnia, kiedy, jak zwykle, siedząc w oknie, spoglądałem na robotę, zrobił się naraz krzyk na samej frontowej ścianie. Przyczyny krzyku nie widziałem, słyszałem tylko, jak podmajstrzy rzucił zię do jednego, pochmurnego murarza średnich lat i zaczął łżyć go ostatniemi słowy. A ten milczał, tylko pochylił się i dalej pracował. To uparte, ponure milczenie rozgniewało nadzorcę jeszcze bardziej.

— Ty złodzieju, drabie, kryminalisto — zaraz mi się wynoś stąd! — krzyczał zaperzony podmajstrzy, coraz bliżej przyskakując.

Widziałem, jak posępna, nad cegłą pochylona twarz murarza czerwieniła się, niby nabiegała zarzewiem. Zagryzł wargi i milczał.

— Czy mam sto razy do ciebie gadać, ty szubieniczniku, szubrawcze, zbóju jeden, ha? Marsz stąd zaraz, zabieraj się, bo cię każę zepchnąć na łeb!

Murarz oczywiście walczył sam z sobą twarz jego aż posiniała. W końcu podniósł nieco głowę i zwolna, z niewymowną wzgardą w każdej zgłosce przecedził:

— Chłop chłopem, cham chamem! Nie daj Boże z chłopa pana.

P. Starzyński wystąpił znowu z poprawką, polecając wyjęcie z pod ustawy także robotników przy fabrykacyi rolniczej, a więc zajętych przy gorzelniach, browarach, młynach, stępach, tartakach itp.: Koło myśl jego przyjęło. Ks. Chotkowski zaś zażądał, żeby wykluczono od ubezpieczenia także „nieślubne położnice,“ nad czem toczyła się w Kole bardzo żywa i długa rozprawa, a p. Abrahamowicz chciał, żeby robotnicy nie nabywali zaraz po objęciu pracy prawa do ubezpieczenia na wypadek choroby, lecz żeby wyznaczono kilkutygodniowy na to termin, przytaczając jako argument na obronę swego żądania możliwość nadużyć.

Wielki ten mąż do małych interesów wykrzyknął z tryumfem przy końcu swej mowy, jak gdyby odkrył drugą Amerykę: proszę moich łaskawych panów dobrze rozważyć, jak okropne mogą się dziać nadużycia: kobiety ciężarne będą szły do roboty tylko dla tego, ażeby mogły odbyć połóg na nasz koszt... na koszt kraju. Ten „nasz koszt i koszt kraju“ są klasyczne, jeśli zważymy, że „chlebodawcy“ obowiązani są wedle ustawy do uiszczania na rzecz kasy tylko 1 ⅓% od wynagrodzenia za robotę.

Przedstawmy sobie w konkretnych liczbach powyższe „nadużycia.“ Średnio zamożny właściciel wsi lub jej dzierżawca — przypuściwszy nawet, że i robotnicy rolnicy będą ubezpieczeni, do czego jednak jeszcze bardzo daleko — płaci rocznie co najwięcej 4,000 guldenów za robotę w polu. Suma ta przedstawia — w odsetku 1 ⅓ — razem 52 guldeny, któreby wpłynęły ze strony „chlebodawcy“ do kasy dla chorych. Jaki dopiero ułamek pieniężny mógłby pójść na „nadużycie“ p. Abrahamowicza, na ową biedną i wzgardzoną położnicę, która nie jest tak szczęśliwą, ażeby mogła dać dziecięciu niewinnemu życie pod własną strzechą, ażeby powiła biedactwo na swój koszt własny! Ludzkość, współczująca z nieszczęśliwemi, urządza przytułki dla biednych ciężarnych kobiet, utrzymuje domy podrzutków, a p. Abrahamowicz jest o tyle twardego serca, że mu żal kilku guldenów w podobnie nadzwyczajnym wypadku, na które płaciłby możliwie tylko 30%, i faktycznie pod płot posyła biedne kobiety brzemienne.

Z zadowoleniem zapisuję, że samolubne te dążenia znalazły energiczną odprawę ze strony p. Gniewosza, za co należy mu się publiczne uznanie.

Na wczorajszem posiedzeniu Izby poselskiej wystąpił p. Alfons Czajkowski ze swoją poprawką, mianowicie, żeby wysokość płacy dziennej robotnika oznaczano w porozumieniu z władzami autonomicznemi, i większość Izby przyjęła ją. Potem wyrwał się jeden z członków niemiecko-klerykalnego klubu ks. Liechtensteina i podjął wniosek ks. Chotkowskiego o wykluczeniu nieślubnych położnic od ubezpieczenia, ale dostał porządną odprawę ze strony posła dr. Suessa, który, powołując się na słowa Chrystusa, wyrzeczone do jawnogrzesznicy i tych, co ją kamienować chcieli, bardzo trafnie zauważył, że były one wypowiedziane do faryzeuszów nietylko ówczesnych, lecz wszelkich późniejszych wieków, a więc i do faryzeuszów dziewiętnastego stulecia. Odprawa była tak cięta i gruntowna, że klerykalny wnioskodawca oświadczył następnie, iż cofa swój wniosek, ponieważ przekonał się, iż jest nieuzasadniony. Można się na pewno spodziewać, że i reformatorom społecznym Koła polskiego przy której z poprawek także tak samo wyczytają *lewici*, jak owemu klerykałowi, z tą tylko różnicą, że despekt i obniżenie moralne, jako zapłata za egoizm klasowy, pójdzie na nasz ogólny narodowy rachunek.

Istotnie ubolewać należy z całego serca, że Koło polskie na takie rzeczy trawi czas drogi i w ten sposób zamierza biedny kraj uszczęśliwić.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zamęt, przybierający coraz inną postać, znamionuje obecną chwilę. Widnokrąg Europy podobny jest do nieba, na którem kotłują się, rozdzierają i łączą chmury, z po za których czasem wygląda skrawek błękitu i nieco światła. Pomimo ukończenia wyborów niemieckich, których rezultat wypadł według życzenia rządu i miał zażegnać burzę, spokój nie wraca a nawet giełdy drżą w ciągłej trwodze. Kurs rubla opadł jeszcze niżej, choć właśnie ze strony Rosyi najmniej widać znaków wojennych. Najenergiczniej ku uzbrojeniu kroczy Austrya, która dodatkowy kredyt na armię podniosła do 80 milionów. Świat polityczny, znając jej lękliwość i zależność od Niemiec, prostym wnioskiem dochodzi do przekonania, że jednak w głębi tajemnic gabinetów „coś się święci,“ na co te miliony będą potrzebne. Ale tego utopionego „klucza sytuacyi“ żadna ręka dziennikarska wydobyć nie może, wszyscy więc pływają po morzu domysłów, które pracowity telegraf roznosi cierpliwie na wszystkie strony, mało się troszcząc o to, że nawet z jednego dnia nie może zebrać wiadomości zgodnych. Jak mu każą: to biało, to czarno, albo szaro.

W brukselskim *Nordzie* (odbijającym zapatrywania gabinetu petersburskiego) pojawił się artykuł, który zrobił mocne wrażenie i dał powody do różnostronnych objaśnień. Autor tego artykułu dowodzi, że najwygodniejszą w obecnych powikłaniach dla Rosyi taktyką jest cierpliwie czekać — czekać chwili, w której Niemcy i Francya koniecznem następstwem swego militaryzmu zetrą się, a wtedy Rosya rzuci na szalę swój decydujący głos. Nie ulega wątpliwości, że taka metoda byłaby najlepszą, ale właśnie zdaje się, że inne państwa ją obrały, że godłem każdego jest czekanie. Wynikło to z natury obecnych stosunków Europy, wyjątkowo naprężonych. Wszystkie mocarstwa uzbroiły się nadzwyczajnie, wszystkie zatem rozumieją ryzyko niepewnej wojny, w której nie da się obliczyć ani działanie olbrzymich armij, ani skuteczność nowych środków— każde zatem wolałoby, ażeby inni rzucili się w zapasy, a ono odegrało rolę bezczynnego świadka, który wyzyska dogodną dla siebie sposobność. Cała niepewność położenia i jego chwiejne ruchy opierają się właśnie na tem powszechnem wyczekiwaniu. Takie stanowisko zajęły Niemcy, Francya, Anglia i Austrya. Najśmielszy ze śmiałych ks. Bismark radby niezmiernie, ażeby jego „sprzymierzeńcy“ porwali się za czuby, a on mógł w odpowiedniej chwili groźniejszego chwycić za kołnierz. Tymczasem żadne państwo nie chce być pierwszem, i to wpychywanie się wzajemne w ogień trwać będzie póty, póki z pobudkami dyplomatycznemi nie połączą się inne — społeczno-ekonomiczne — które każą przejść Rubikon. Katastrofę taką każdy przewiduje, tylko nikt pory jej wybuchu oznaczyć nie może, bo w rachunku za wiele jest niewiadomych.

Trzęsienie ziemi nad brzegami morza Śródziemnego sprowadziwszy znaczne szkody, stało się przyczyną wielu bankructw i zamieszek we Włoszech. Rząd, zajęty kłopotami w Abisynii, znalazł się wobec nowego nieszczęścia, któremu będzie musiał zapobiedz.

Podmajstrzy na chwilę niby zastygł na miejscu. Oczywiście przymówka ugodziła go boleśnie: był on z chłopskiego rodu, a teraz, zostawszy „panem podmajstrzym,“ bardzo wstydził się swego pochodzenia. To też po chwilowem osłupieniu wybuchnął:

— Tak? Tak ty do mnie? Czekajże, ja ci pokażę! Ja cię nauczę! Marsz!

Murarz nie ruszał się z miejsca.

— Zabieraj się, opryszku! Machaj do stu djabłów, bo każę policyę zawołać!

Murarz uparcie klepał młotkiem o cegłę. Wtedy podmajstrzy przyskoczył do niego, wyrwał mu młotek z rąk i rzucił na ulicę. Rozgniewany robotnik zazgrzytał zębami i wyprostował się.

— Chamie! — krzyknął on — jakiego djabła ty się mnie czepiasz? Czego ode mnie chcesz?

— Jeszcze grozisz? — zaryczał podmajstrzy. Gwałtu! Gwałtu! Rozbójnik!

Na ten krzyk przybiegł drugi podmajstrzy i obaj połączonemi siłami rzucili się na murarza. Ten nie stawiał oporu. Kułaki posypały się na jego plecy; popychany szturchańcami, niemy w złości i rozpaczy, zszedł on z rusztowania i wziął na plecy swój worek z narzędziami. Inni robotnicy, którzy widzieli całą tę scenę, milcząc pracowali, pochyleni nad cegłą i zagryzając wargi. Nikt z nich nie pisnął ani słowa.

— Smaruj chłopa łojem, a on śmierdzi gnojem! — krzyknął na odchodnem murarz już z ulicy. Na twarzy jego pokazał się wymuszony uśmiech szyderczy, ale w oczach równocześnie ku słońcu zabłysły łzy.

— Tylko ty mi nie idź na złamanie karku, zbóju przebrzydły! — krzyknął podmajstrzy z muru i pogroził odchodzącemu kułakiem.

Drugiego dnia wstałem rano i wyjrzałem przez okno. Na ulicy było jeszcze cicho. Robotnicy tylko co poschodzili się „na fabrykę.“ Zdziwiłem się bardzo, zobaczywszy między nimi odpędzonego wczoraj murarza. Zaciekawiony, zacząłem wyczekiwać, co z tego będzie, gdy przyjdzie podmajstrzy. Pracujący mało rozmawiali z sobą, a do odpędzonego nikt nawet się nie zbliżał; on stał na boku, koło parkanu. Aż oto przyszedł i podmajstrzy, fukając i sapiąc. Jednem spojrzeniem obrzucił robotników; gniewne oczy jego spoczęły na odpędzonym wczoraj.

— Ty opryszku znowu tutaj? A to po co? Kto cię tu potrzebuje?

— Panie podmajstrzy — odzywa się murarz, postępując ku niemu dwa kroki (śród ogólnej ciszy słychać, jak drży jego gwałtem hamowany głos) — panie podmajstrzy, miejcie wzgląd, co ja wam zrobił? Za co wy mię chleba pozbawiacie? Przecież wiecie, że teraz roboty nigdzie nie znajdę, a w domu...

— Marsz, kryminalska duszo! — ryknął podmajstrzy, któremu dzisiaj nie podobała się pokorna mina murarza, tak jak wczoraj jego ponure milczenie.

Murarz zwiesił głowę, wziął pod pachę swój worek z narzędziami i poszedł.

I odtąd cały tydzień co rana widziałem tę samą scenę na ulicy. Odpędzony oczywiście nie mógł nigdzie znaleźć roboty i co rano przychodził prosić o przebaczenie. Ale podmajstrzy był twardy, jak kamień. Żadne prośby, ani zaklęcia nie wzruszały go, i czem bardziej uginał się i pochylał winowajca przed nim, czem mizerniejszą i zieleńszą robiła się twarz jego, czem głębiej zapadały pod czaszkę oczy, tem dumniej stawał przed nim podmajstrzy, tem ostrzejszemi i wzgardliwszemi słowy obrzucał biedaka, który po każdej odmownej odpowiedzi tylko wargi zagryzał, brał pod pachę swój worek i uciekał, nie oglądając się, jak gdyby lękał się jakiejś strasznej pokusy, która pchała go do spełnienia złego uczynku.

Było to wieczorem w sobotę. Nagły deszcz napadł mię śród ulicy, wskutek czego musiałem schronić się do pobliskiego szynku. Nie było w nim nikogo. Brudny, wilgotny pokój słabo oświecała jedna jedyna lampa, która smutno jakoś kołysała się u sufitu, a za bufetem drzemała stara, tłusta żydówka. Obejrzałem się po kątach — o dziwo!.. Przy jednym stole zobaczyłem znajomego murarza, siedzącego obok swego wroga, podmajstrzego. Przed każdym z nich stała szklanka piwa, do połowy nadpita.

Watykan stracił swego „sekretarza stanu“ kardynała Jacobiniego, który dość młodo opuścił pole szczęśliwej dla papieża działalności dyplomatycznej. On to bowiem był głównym pośrednikiem w przeprowadzeniu ugody kościelnej z Prusami. Umarł w chwili, gdy ks. Bismark, burząc dalej swe dzieło ustaw majowych, wniósł do Izby panów projekt prawodawczy, usuwający wiele ograniczeń w mianowaniu i kształceniu księży oraz zezwalający na powrót niektórych zakonów religijnych. O zmianie tej pomówimy kiedyś szczegółowiej, dziś zaznaczamy tylko, że jezuitów, usuniętych przez uchwałę sejmową, z tego prawa wyłączono.

Skutkiem nowych zaburzeń w niektórych miejscowościach Bułgaryi ogłoszono stan oblężenia..

ŻYCIE SPOŁECZNE.

MODA I CYNIZM.

I.

Przed kilku laty znany krytyk i estetyk niemiecki Fryderyk Teodor Vischer ogłosił w czasopiśmie *Nord und Süd* artykuł o modzie, w którym, wykazując śmieszne, a nawet wprost niemoralne strony tej królowej wszechwładnej i nazywając rzeczy po imieniu, niemiłosiernie chłostał jej hołdowników. Artykuł ten, jak łatwo było spodziewać się, liczne i ostre wywołał zarzuty. Wrzawa zdawała się nie do uciszenia: pomawiano autora o sprowadzenie zgorszenia publicznego, o szorstkie i bezwstydne występy przeciwko przyzwoitości, o cynizm wreszcie. Ale umysł takiej miary, jak Vischer, nie dał się zrazić krzykami. Dla okazania, iż przekonań wypowiedzianych bynajmniej nie cofa, przedrukował on obecnie rozprawę w osobnej książce z dodaniem dosyć obszernego studyum, w którem zastanawia się nad istotą cynizmu, pojęciem jego oraz dozwolonemi granicami w literaturze i sztuce *). Ponieważ i u nas nie brak zaślepionych czcicieli bożyszcza mody, a nadto dużo jest moralistów, którzy pod pozorem czuwania nad czystością obyczajów gotowi są bez namysłu wszelkie śmielsze słowo o zakorzenionych złych nałogach napiętnować mianem przestępstwa — uważamy za stosowne bliżej z tą książką zapoznać czytelników *Prawdy*.

„Łatwo zrozumieć — powiada Vischer we wstępie — że nie chwyciłem za pióro, aby osławiony ów artykuł osłonić przed pociskami jego przeciwników, zwłaszcza tych, dla których moda jest drugą religią i którzy spodziewali się, że przez rękawiczki tylko poważę się dotknąć draperyi ich bóstwa. Nie godzi się pomnażać literatury dla obrony spraw osobistych jedynie. Ale rozświecać pojęcia — oto jest cel, który daje prawo i powołuje do pisania. Pojęcie zaś, o jakie tu chodzi, wymaga rozjaśnienia; nie jest ono łatwem, potrzebuje szeregu rozróżnień dyalektycznych, o ile wiem, nigdzie jeszcze z gruntownością ustalonem nie zostało i przyznać muszę, że mnie samego ostatnie doświadczenie dopiero skłoniło do dokładniejszego zdania sprawy ze słusznych powodów otwartego wystąpienia w tej mierze, aniżeli to mogłem uczynić w chwili, gdym w pośpiechu spisywał myśli, które każdemu nieuprzedzonemu nasunąć musi moda teraźniejsza.“

Piszący o modzie, podług autora, byłby nad wyraz naiwnym, gdyby przypuszczał, że słowa jego w czemkolwiek wpłynąć zdołają na uleczenie jej dziwactw. Więc po cóż pisać? — zapytuje dalej i odpowiada zaraz: Musimy pisać dla przyszłych pokoleń, których bystremu wzrokowi współczesna moda nasza wydawać się będzie jakąś karykaturą niepojętą, unoszącą się nad powierzchnią przeszłości, a my istotami ślepemi, pozbawionemi samopoznania. Te tedy pokolenia niechaj się dowiedzą, że nie wszyscy byliśmy tacy, że nie one dopiero przejrzały, ale, że zawsze znalazło się kilku, którzy mieli oczy otwarte, którzy wśród trzody owiec bezwiednie nie szli za baranem-przodownikiem, mianującym się tonem modnym. Skargi, kazania, szyderstwa przeciwko modzie są tak dawne, jak oświata. Odkąd kroczy po świecie wielbłąd z małpą na garbie, zwany modą, zawsze tuż obok niego pędzi satyra, już jako błazen w pstrej kurtce, już jako kaznodzieja pokutny w czarnej szacie. Szereg satyryków ciągnie się przez wszystkie wieki i napewno powiedzieć można, że już egipcyanie, asyryjczykowie, indyanie, persowie — mieli swoich Juwenalów lub Rabelais'ów. Z powodu postawionej przez siebie kwestyi dalszej: jak pisać, delikatnie, czy gburowato— autor rozumuje tak: „Kiedy mowa o modzie na odzież, chodzi tak przeważnie o modę kobiecą, iż same kapelusiki, spódniczki, trzewiczki, niby grożącemi paluszkami zdają się przestrzegać nas: bądź delikatnym, nie gburem! Duszę z kamienia musiałby w piersi nosić ten, ktoby nie powziął najlepszego zamiaru usłuchania tej przestrogi, ktoby nie chciał pisać z całą wytwornością. Cóż to jednak wszystko pomoże! Niepodobieństwo pozostaje niepodobieństwem!“

Krytykuje on* najprzód modę obcisłych, przylegających sukien damskich, przez co pełniejsze kształty plastycznie uwydatniają się w ten sposób, iż widok tego rodzaju wywołuje rumieńce na czoło wcale nie dziewiczo usposobionego mężczyzny: wstydzi się za kobietę, która występuje w stroju takim i naprózno sili mózg swój dla zrozumienia, jak można *w sukniach tak nago* pokazywać się płci drugiej.

Zaznaczywszy następnie, iż obnażone łona i plecy pojawiają się już tylko w salach balowych — objaśnia, że bynajmniej nie idzie o to, aby piękne formy postaci niewieściej nie były widziane przez nikogo. Niechaj wszakże formy te nie będą wystawiane na pokaz każdemu, rzucone na pastwę zgromadzonych na zabawie owych młodszych i starszych panów, którzy okiem wcale nie artystycznem, lecz wprost pożądliwem pożerają wszelki wdzięk zbyt ujawniony, wszelki ruch swobodniejszy. „A gdyby nawet — dodaje — wszyscy tancerze i goście zebrani z samych idealnie rozmarzonych składali się Praksytelesów, czybyś w takim razie, urocza Sylfido, zgodziła się służyć za model tylu naraz rzeźbiarzom? Nie jesteś o tyle niedoświadczoną, abyś nie wiedziała, jako teraz kochana nasza młodzież męska w Café chantant'ach pobiera wykształcenie. Niby szyld nad sklepem wywieszasz to, czem byś słusznie uszczęśliwić była powinna jednego tylko, który cię kocha i którego ty kochasz nawzajem. Czyliż jesteś tak naiwną, że ci nie żal twego przyszłego, który wśród rozkoszy pomyśleć będzie zmuszony: o, dużo z tego wszystkiego podziwiał już niejeden kantorowicz i bywalec światowy, a bezwątpienia rozpowiadał o tem i żartował przed nimfami swoich sfer!“

Główną pobudkę mody upatruje pomiędzy innemi w wysiłach, jakie w pogoni za mężami urządzają kobiety. Vischer przyta-

*) *Mode und Cynismus.* Beiträge zur Kentniss unserer Culturformen und Sittenbegriffe. Stuttgart, str. 108.

— No, daj wam Boże, kumie! — rzekł murarz, potrącając szklanką.

— Daj Boże i wam — odpowiedział ten głosem daleko łagodniejszym, niż na ulicy przy robocie.

Zaciekawiło mię to dziwne towarzystwo. Kazałem sobie podać piwa i siadłem daleko, w drugim końcu pokoju.

— No, cóż kumie — prawił murarz, widocznie siląc się na swobodny ton; nie dobrze to, żeś się tak na mnie zawziął, dalibóg niedobrze, za takie rzeczy pan Bóg się gniewa.

Wyrzekłszy to, stuknął próżną szklanką o stół i zamówił jeszcze dwa piwa.

— Przecież wiecie, co tam u mnie w domu, jaka nędza! Nie trzeba opowiadać. Żona chora, zarobić nie może, a do tego i ja z twej łaski już cały tydzień świątkuję! Gdyby to tylko ja sam, to jużby człowiek jakoś cierpiał. A to widzisz chora baba i te biedne robaki, co już ledwo łażą i chleba piszczą. Serce się kraje, kumie, dalibóg się kraje. Przecież ja im jakiś ojciec.

Podmajstrzy słuchał tej mowy, pochyliwszy głowę, kiwając nią, jak gdyby drzemał. A gdy żydówka przyniosła piwo, on pierwszy wziął szklankę, trącił się z murarzem i rzekł:

— Na zdrowie twej żony!

— Daj Boże, żebyś i ty nie chorował — odrzekł murarz i nadpił trochę.

Widać było z wygłodniałej twarzy, że niechętnie usta jego dotykały tego napoju. Ach, może nań poszedł ostatni grosz z wypożyczonego przed czterema dniami guldena, który miał służyć na utrzymanie całej nieszczęsnej rodziny aż do lepszych dni, bo drugiego guldena nie wiadomo czy zdoła od kogo wypożyczyć. A teraz za ten ostatni grosz postanowił ugościć swego wroga, w nadziei, że bodaj tak zmiękczy jego serce.

— A prócz tego, kumie kochany, rozważ ty tak na sumienie, co ja ci takiego zrobił? Żem ci w gniewie słowo niegrzeczne powiedział? A ty mnie ile nasypałeś! Dalibóg, kumie, niedobrze tak krzywdzić biednego człowieka!

Kum, wypiwszy piwo, znowu pochylił głowę i kiwał nią, niby drzemiąc.

— Ta już — nieśmiało ciągnął dalej murarz—bądź łaskaw w poniedziałek... wiesz... Sam widzisz, gdzie ja się biedny podzieję? Chyba ginąć z dziećmi i z żoną.

— A co, każesz jeszcze dać szklankę? — przerwał mowę podmajstrzy.

— O, i owszem, i owszem. Hej, jeszcze szklankę piwa!

Żydówka przyniosła piwo. Podmajstrzy wypił jednym haustem i otarł wąsy.

— No, i jakże będzie? — trwożnie zapytał murarz, starając się wziąć podmajstrzego za rękę i zaglądając mu w twarz.

— A jakże ma być? — odrzekł ten chłodno, wstając i zabierając się do wyjścia. Dziękuję ci za piwo, a do roboty w poniedziałek nie masz po co przychodzić. Już przyjąłem drugiego, a zresztą — te słowa rzekł już koło samych szynkowych drzwi— ja takich opryszków, takich kryminalistów, jak ty, nie potrzebuję!

I jednym skokiem wypadł na ulicę i zatrzasnął za sobą drzwi szynkowe.

Nieszczęśliwy murarz zdrętwiał, jak piorunem rażony. Długą chwilę stał nieruchomy, nie wiedząc, co ma myśleć. Powoli przebudził się, jakaś dzika myśl błysła mu w głowie. Jedną ręką porwał stół, za którym siedział i odrazu odłamał mu nogę, a następnie zamachnął nią po izbie szynkowej. Trzask, chrzest i brzęk porozbijanych naczyń, krzyk żydówki, hałas wpadających ludzi, wrzask policyanta — wszystko to w jednej chwili zlało się w dziką, ogłuszającą harmonię. Za chwilę nieszczęsny murarz znalazł się w pośrodku ryczącego i piszczącego tłumu żydów, którzy z wielkim hałasem oddali „szalonego rozbójnika“ w ręce policyanta. Stróż bezpieczeństwa chwycił go za plecy i pchnął przed siebie, obok policyanta powlokła się przelękniona szynkarka, zostawiwszy na swem miejscu jakąś drugą żydówkę — a dokoła nich wrzeszcząc i krzycząc cała kupa żydziaków i wszelkiej ulicznej zbieraniny popłynęła za aresztowanym.

I. Franko.

cza jako przykład tak zwane „grzywki.“ Piękność jakaś powzięła myśl napuszczenia sobie kilku loczków na czoło i wyrzekła przed lustrem: wygląda to nawpół marząco, nawpół dziko, tak niezwykle po urwisowsku — o, to podziała niechybnie, temu nikt oprzeć się nie jest w stanie! Wykonywa więc myśl swoją, ale łaskawie, bo pod uczesaniem jej jeszcze choć trochę widać czoła. Widzi to inna i myśli: o, tak, to i ja mogę! I już nie loki tylko, ale sztywne szczeciny, albo pęki włosów kołtuniastych zawiesza sobie na czole; trzecia ozdobę (!) tę czyni jeszcze gęstszą i dłuższą, czwarta wcale nie zastanawia się, że nizkie ma czoło i że fryzura taka nadaje jej podobieństwo do szympansa, mopsa lub czego innego w tym rodzaju. Tym sposobem kretynizm dochodzi do rozkwitu, niedorzeczność przykrywania włosem tego, co jest najpiękniejszem w obliczu ludzkiem, niedorzeczność przyćmiewania świątyni myśli — staje się modą.

Po takiem rozpatrzeniu wszystkich niemal bardziej rażących części stroju kobiecego — przyczem nie zapomniał ani o bucikach na wysokich obcasach, ani o kapeluszach, już to sterczących w kształcie wież, już wreszcie niby przykrywki płaskie zatkniętych na górach z włosów, ani o gorsetach i trykotach nawet — autor przechodzi do ubioru męzkiego. Mówi z kolei o szerokich szarawarach, uniekształcających postać całą, o wysokich niby rury kominowe cylindrach i innych różnobarwnych, różnokształtnych, czasem miniaturowych, a zawsze potwornych kapeluszach, o kroju surdutów, każącym umieszczać guziki z tyłu o trzy cale niżej krzyża itp.

„Kiedy przed trzema laty — powiada autor — bawiąc w Karlsbadzie, spostrzegłem jakiegoś młodego człowieka w długim, szaro-kratkowanym chałacie, drapiącego się ku źródłu, pomyślałem ze zdziwieniem, że pozwala sobie w szlafroku przychodzić na wody. Naiwne zdziwienie! Było to palto, niestety, które zaczynało wówczas wchodzić w modę, a dziś z dniem każdym więcej należy do dobrego tonu. W połowie objęte jest ono paskiem nad biodrami, a że zazwyczaj ciasne — więc nieprzyzwoicie uwydatnia pewne wypukłości, z powodu zaś długości swojej, dziwnie plącze się wokoło łydek i kostek. Słowem jest to najbardziej bezmyślna figura retoryczna w dziedzinie poetyki ubiorowej.“

Jakkolwiek przecież to wszystko wydaje się bardzo zabawnem, zupełnie dowolnem jednak nie jest. Cały ów świat głupoty modnej sądzi, że podług upodobania hołduje jeno pozbawionej wszelkiego smaku próżności swojej, tymczasem bezwiednie posłuszny jest władzy niewidzialnej, która go nagli do symbolicznego ujawnienia na zewnątrz, do wyrażenia w ubiorze wewnętrznego charakteru czasu danego, jego usposobienia, sposobu myślenia, pojęć i obyczajowości. Z tego źródła pochodzą zarówno strój, jak i moda. Strój jest stałym i konserwatywnym, choć także nie wiecznym, bo w drobnych szczegółach zwolna ulega zmianie. Moda jest młodszą siostrą stroju, rozpustna, rtęciowo-ruchliwa, bezgranicznie próżna, jednym strychulcem równająca stany i narody, a jednak szczuta wszystkimi psami nowatorstwa. Reprezentuje ona nawskroś rozbudzonego ducha czasów nowożytnych, przedstawia to, co mają wspólnego wszystkie ludy ucywilizowane, a więc przedewszystkiem szybkie przechodzenie z przedmiotu na przedmiot i krótkość wszelkich poruszeń. Dążymy dziś do zapanowania nad materyą i nie mamy czasu zbywającego. „Moda — powiada autor — z lodowatym spokojem bezwzględny przepisuje niepokój, jest ona trutniem zdziczałym i mrukliwą ciotką, swawolnym podlotkiem i poważną damą klasową, pedantką i arlekinką zarazem. Monarchia jej jest jednocześnie teokracyą, bo przekonania tu są wyrocznią i objawieniem. Modniarki paryskie wraz z przeróżnemi damami całego i półświata, z którymi na obrady się gromadzą — to Pytye nowożytne, a wyziewy z wnętrza ziemi, przenoszące je w stan jasnowidzenia — gazem nadzmysłowym, promieniejącym z ducha historyi.“

Uwagi te ogólne prowadzą autora do wniosku, że moda jest częściowym przymusem — oraz że ten ostatni tylko zbiorowem *coup d'etat* zwalczony być może. W tym celu taką mniej więcej podaje propozycyę: W jednem z wielkich miast zbiera się dwieście do trzystu kobiet i naradza z artystami, mającymi smak estetyczny co do najracyonalniejszych form ubioru. Wynikiem takiej narady, rozumie się, nie będzie żaden strój wyszukany, nic teatralnego, ani też purytańsko-prostego, tylko w każdym razie powrót do szaty o skromnie spływających fałdach; zresztą po zakreśleniu pewnych linij demarkacyjnych, ochraniających przyzwoitość, pozostawiony będzie wolny wybór każdemu co do noszenia ubrania głowy, ozdób, okryć itp. Wszystkie panie do tej ligi należące zobowiążą się pod przysięgą pewnego pięknego poranku publicznie ukazać się w nowym swym stroju. Sprzysiężone w ten sposób w towarzystwie mężczyzn, braci, narzeczonych, wujów lub opiekunów, udadzą się do warsztatów krawczyń, szwaczek i modniarek. Panowie wybierają się w drogę tę zaopatrzeni w dobre rewolwery, a przedstawiając artystkom tym rysunki krojów postanowionych, pod groźbą śmierci natychmiastowej wymuszają od nich przyrzeczenie bezwarunkowego posłuszeństwa w wykonaniu. Kiedy następnie ubiory zamówione będą gotowe, współuczestniczki zamachu powinny spełnić, co zaprzysięgły. Wprawdzie trzysta kobiet razem spacerować nie może, ale starać się mają, aby to czynić po kilka. „Toż to na ulicach — mówi Vischer — będzie wzruszanie ramionami, potrącanie się łokciami, drganie kątów ust, szepty pomiędzy damami z lepszego towarzystwa, stawanie, śmiech głośny, wskazywanie palcami ze strony osobników warstw niższych. Wszystko to wszakże, po pierwsze, nigdy nie przytrafi się żadnej kobiecie z osobna, powtóre zaś, w bardzo krótkim czasie stłumione zostanie samo w sobie, gdyż chór szyderców wprost zdławionym będzie przez masę. I o cóż się założycie, szlachetne moje bohaterki? W kilka dni potem, we wszystkich oknach magazynów mód wystawione będą piękne owe formy, a w dwa tygodnie cała małpia odzież modna haniebną poniesie porażkę, tak, że również stanie się śmieszną i do wiary niepodobną, jak śmieszną i niemożliwą na pierwszy rzut oka wydawała się tłumom gęsim wasza przyzwoita, nowa suknia.“

Taką jest treść artykułu, która na głowę Vischera tyle ściągnęła piorunów. Jakimi argumentami odpiera on te pociski — postaramy się przedstawić czytelnikom w numerze następnym.

(D. n.)

Ad. J. Cohn.

BADANIA NAUKOWE.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

I.

Etyka Wundta. — Wywody Guyau. — Rozrost hypnotyzmu. — Uzupełnienie kodeksu. — Garofalo, Campilli, Robinet i Bergson.

Rok temu kolega mój N. H. przyrzekł czytelnikom *Prawdy* stałe sprawozdania z wybitniejszych objawów myśli współczesnej. Ale stało się wedle przysłowia: „parturiunt montes, nascitur ridiculus mus.“ Umilkł nagle, nie wiem dlaczego; pomimo złej wróżby, niżej podpisany gotów jest i zamierza umysł jego spożytkować. Ale żeby i teraz nie sprawdziła się złowroga owa gadka, zapowiada zawczasu, iż abstrakcye tylko w postaci drobnych myszek filozoficznych, lekkich a możliwie licznych pogadanek, ze świata szerokiego na nasz maleńki i ubożuchny przenosić będzie. To może uchroni go od niesłowności, a słuchaczów od zawodu.

A więc „w imię Boże!“ Zaczynam od faktu, który zapewne nie przypadł do smaku lubiącym ślizgać się po powierzchni ważniejszych zagadek umysłu ludzkiego, ale który strawić prędzej czy później będą musieli — od pracy niewątpliwie najdzielniejszego myśliciela dzisiejszych Niemiec — *Etyki*. Że jednak utwór ten przypomina raczej słonia niż mysz, przeto zostawiam sobie na poźniej dokładne i specyalne zapoznanie z nim miłośników ciężkiej uczoności germańskiej — a teraz ograniczę się na zwięzłej charakterystyce. Znakomity profesor lipski i tym razem pozostał wierny ulubionemu formatowi: dużej ósemki o sześciuset stronicach, równającej się czterem przyzwoitym tomom. Są to rozmiary jego „Psychologii ludzi i zwierząt,“ „Psychologii fizyologicznej“ i „Logiki.“ Zdawałoby się, że wzorem i szczytem nieprzystępności jest Kant, a tymczasem on ani się do Wundta umywa — przynajmniej pod względem okazałości swych pism. I czemże, gotów kto zapytać, można zapełnić tak olbrzymie ramy, jednej tylko dziedzinie poświęcone? Nic... trudniejszego. Śledzi się wszystkie sprawy pomocnicze, a — zdaniem autora — niezbędne do rozstrzygnięcia kwestyi, „od jajka.“ Robi się z jednego zagadnienia, lub pewnej grupy założeń — kilkadziesiąt, każde bada się oddzielnie, wyczerpująco, wszechstronnie, a czytelnikowi przeznacza się pracę łączenia ich w jeden łańcuch przesłanek, ogniskowania w świadomości, która po drodze gubi się niezliczoną ilość razy, nuży i męczy. Potrzeba naprzykład rozpatrzyć wpływ religii na rozwój pojęć etycznych — więc się wyprowadza cały jej rodowód, krytykuje odnośne szkoły, rozbiera mity, ich grupy, rozwój i rozkład. Podobnie dla wytłomaczenia, jaką odgrywa rolę zwyczaj, Wundt poświęca mu osobną monografię; dla zrozumienia wpływu warunków naturalnych, wykłada całą antropologię i przyrodoznawstwo. Dzieje filozofii praktycznej zostały uwzględnione w możliwej rozciągłości. A to wszystko stanowi dopiero pierwszą połowę, przygotowawczą, ogół „danych“ etyki! Później dopiero wysuwa się ciężka artylerya wywodów psychologicznych, wielkie wyprawy o jaźni, woli, uczuciu, społeczeństwie. Za nimi idzie budowa norm teoretycznych oraz stosowanie ich do przeróżnych form życia zbiorowego. Wynik tej żmudnej roboty niewiele ma wspólnego z teoryami angielskiemi i wogóle z zasadą użyteczności. Osobistość niknie zupełnie ze wszystkiemi swemi prawami wobec uroszczeń społeczeństwa i ludzkości. Jeżeli o podmiocie może być mowa, to jedynie dlatego, że prawa moralne muszą się wyrażać podmiotowo. Pojęcie obowiązku — to linia, idąca od jednostki ku bliźnim. Ale poszukiwanie przez tę jednostkę szczęścia, dobrobytu, doskonałości — *o ile te nie służą celom powszechnym* — nie może stanowić przepisu moralnego. Przypomnijmy sobie, że utylitaryzm rozumuje całkiem odwrotnie. Dobro indywidualne jest warunkiem i dźwignią dobra powszechnego: kto bowiem dba o siebie, ten dba nietylko o swe ciało, lecz o rozkosze duchowe, ten pragnie miłości, sympatyi, solidarności, a dla zakosztowania ich musi ponosić pewne ofiary i w ten sposób, zbawiając siebie, zbawia innych. Tak wygląda systemat Benthama, przez następców niewiele zmieniony. Wundt tedy stoi na biegunie przeciwległym.

Strasznie po żołniersku obchodzą się mędrcy niemieccy z indywidualizmem! Dziwnie też brzmi w ustach Wundta śpiew-

ka o „ludzkości,“ na tle faktycznej dzisiejszej etyki prusaków...

Ale spieszę wyjść z mroku — chwytam dzieło francuza; przejście to nazywa pani Ackermann zapaleniem świecy. Doprawdy, jak poemat czyta się „Bezreligijną przyszłość“ *). Autor jej, M. Guyau, ma wysoki dar zjednywania sobie zwolenników zarówno tematami, jak opracowaniem. U nas mało go znają — bo... nie wypada. Jakże można się zajmować pisarzem, który w chwili uwieńczenia przez Akademię wyśmienitego dzieła jego „O współczesnej etyce angielskiej“ — miał dopiero miejsce na wąsy, czyli lat *dziewiętnaście*, i który — a to najgorsza — nietylko że przykłada rękę młodzieńczą do wykopania grobu wielu ideałom przeszłości, ale ma je już za pochowane i śpiewa nad nimi *Salve regina*? Tak jest, Guyau wie, że etyka na teologii oparta chwieje się, więc wynajduje zastępczynię (*L'esquisse d'une morale sans obligation ni sanction*); widzi, że sztuce i poezyi przepowiadają rychły skon wobec prądów demokratycznych i usiłuje wywalczyć im znakomitą, sławną przyszłość (*Les problèmes de l'esthetique contemporaine*), wreszcie czując, że pewnym wierzeniom grunt z pod nóg się usuwa, myśli o zapobieżeniu złemu w najnowszej swej książce. Śmiało więc można by go nazwać filozofem jutra, myślicielem nawskróś praktycznym.

Komu smutno na sercu pod wpływem krakania kruków pesymistycznych, ten znajdzie niejedną pociechę w dziele Guyau'a. Upewni się o niedalekiej śmierci wszelkich kultów — nawiasem mówiąc, chyba tylko we Francyi można żywić podobną nadzieję, szczęśliwy kraj! — ale przekona zarazem, że świat od tego nie umrze. Jest to niewątpliwie perspektywa niemiła, ale lepiej się z nią zgodzić i środki zaradcze obmyśleć zawczasu, niż rwać włosy z rozpaczy. Należy przekształcić wychowanie, rozwijać popędy towarzyskie i społeczne, wykładać dzieje religij etycznych, jak chińska, oparta przeważnie na czci przodków, lub grecka. Należy także podnosić poziom umysłowy wychowawców i duchowieństwa, aby stali się bardziej światłymi i tolerancyjnymi i mniej nudnymi. Złote słowa! — zwłaszcza ostatnie.

Socyologowie jednogłośnie niemal twierdzą, że lud bezbożny zginie w nurtach kwestyi socyalnej; młody francuz wróży, że idea pracy dla pracy, ściślejsze kojarzenie się dusz w uczuciu woli i rozumu stopniowo usuną niebezpieczeństwo. Staje mi żywo przed oczyma różowy optymizm Spencera— bodajby nie byli fałszywymi prorokami! Z kolei duma Guyau nad tem, co zastąpi w przyszłości stronę mityczną religii, mianowicie, jakiego rodzaju filozofia. Próbuje więc jeden po drugim główniejsze jej systematy, odrzuca teizm jako naciągany lub wprost kłamliwy, potępia panteizm pesymistów, który nie licuje z dążeniami narodów czynnych i żywotnych. Pozostaje więc naturalizm materyalistyczny i naturalizm idealistyczny. Żaden z *osobna* należycie żądzy poznania wszechświata nie zadawalnia, więc trzeba je połączyć w jedno, w monizm przyrodniczy — on jeden chyba zdoła zaspokoić wymogi wiedzy i sumienia.

Ładne są dumania Guyau'a o postępie i przyszłości. Człowiek pnie się coraz wyżej. Jednostka pragnie ruchu i uczucia: oto formuła rozwoju. Z naszego ja, niby z ogniska, strzelają ku braciom naszym promienie życzliwości. Stajemy się coraz bardziej stowarzyszonymi. Praca naszego umysłu owocami swymi ogarnia coraz szersze koła; korzystają z niej inni i ocalają ją od zaguby. Czyż to nie może zastąpić nieśmiertelności indywidualnej? I owszem. W życiu społeczeństw o trwałości stanowi stopień natężenia pracy duchowej. To samo stosuje się i do pojedynczych skupień komórkowych — do jednostek. Im bardziej są uduchowione, tem dłuższe czeka je jutro. Im dzielniejsza wymiana myśli i uczuć, tem trudniejszym się staje ich zanik. Nadto jest nadzieja, że psychologia, która dopiero abecadło ustroju nerwowego poznała, z czasem spotęguje możność wzajemnego przenikania się dusz. Badania nad hypnotyzmem odkrywają nowe światy zjawisk, które kto wie, czy nie nauczą ludzi zapomocą pewnej mechaniki ruchów zacieśniać węzeł, łączący oddzielne świadomości, pochłaniać się wzajemnie duchem. Ale tu już

> Rzeczywistość się pomału
> W świat zamienia ideału,
> W sen ze srebra i kryształu;
> (Kraśiński)

Guyau przestaje być bezpiecznym cicerone — czas go pożegnać, aby w tem czarodziejskiem panorama nie doznać zawrotu głowy. Na usprawiedliwienie go, musimy zresztą dodać, że... nie zawsze tak lubi bujać, przeciwnie, w części dzieła faktycznej, gdzie zaznacza stan rzeczywisty i wykazuje upadek idej — stoi na pewnym gruncie mnóstwa przekonywających dowodów. I nawet za ryzykowne przepowiednie niepodobna gniewać się na ten umysł twórczy, pogodny i świeży, jak ranek majowy.

Tak tedy najnowsza filozofia rachuje się już z hypnotyzmem. Czasopisma naukowe wszystkich krajów, a szczególnie Francyi i Włoch, pełne są ciekawych spostrzeżeń, prób wytłomaczenia istoty snu magnetycznego, traktatów o znaczeniu jego leczniczem. Fizyologia, medycyna, psychologia rzuciły się na nowoodkryty skarbiec nieznanych dotąd faktów i praw. Niektóre miejscowości, jak np. Turyn, opanowała prawdziwa mania hypnotyczna. Ludziska bawią się usypianiem, złośliwi idą za przykładem niezapomnianego Balsama i ucznia jego Gilberta, bohaterów Dumasa starszego, któr y tak niemile dali się we znaki Andrei de Taverney. Zaczęto posługiwać się hypnotyzmem nie tyle w celach naukowych, ile dla poglądowego studyowania plastyki— no, a to już chyba najlepsze świadectwo popularności, jaką się cieszy na oceanie nauki zielona wyspa, na której rozbitki metafizyki szukają schronienia. A świat narzeka jeszcze na powolność postępu! Czyż można kroczyć żwawiej od hypnotyzmu, który już zdążył wielokrotnie przed kratkami sądowemi stanąć? Niepodobna. Prawo i ustawodawstwo—to dziedziny skrajnie zachowawcze, nieprzyjaźnie dla wszelkich nowości i zmian usposobione, a przecież i one już dają posłuch wrzawie, którą spowodował hypnotyzm, zwłaszcza w buduarach i frauenzimerach uprawiany, i one przez rzeczników swych domagają się wydania odpowiednich przepisów, hamujących z jednej strony zapał magnetyzerski, a z drugiej, uwzględniających zmniejszoną odpowiedzialność za występki w stanie uśpienia spełniane.

Oto aż dwóch uczonych wzywa rządy do czujności. Francuz Gille de la Tourette proponuje, aby uzupełniono kodeks karny przepisami o wszelkiego rodzaju pogwałceniach wstydu niewieściego za pomocą pogrążania w stan lunatyzmu — to więc dotyczy sprawców snu. Zaś co do wykroczeń przeciw prawu i moralności, wymożonych na uśpionym, to uważa je on po prostu za objawy i wyniki histeryi. Krytyka jednak gwałtownie temu zaprzeczyła, zarówno przez wzgląd na teoryę, która takiem objaśnieniem nie może się zadowolnić, jako też na praktykę, która zbyt pochopnie upatrywać gotowa niepoczytalność winowajców.

Jak wiadomo, słynny prawnik włoski Garofalo, jeden z przedstawicieli szkoły antropologicznej prawa karnego, wedle której zadaniem ustaw jest tylko czuwanie nad bezpieczeństwem obywateli i ukrócanie szkodliwych wybryków, także radzi postępować z lunatykami, jak z histerykami, tj. pakować ich do szpitala zamkniętego i trzymać tam, dopóki nie wrócą do zupełnego zdrowia. Jednak Gille de la Tourette w swojej tolerancyi posuwa się dalej. Towarzyszy mu w tem inny syn uroczej Italii, Campilli. Jego zdaniem hypnotyzm— to automatyzm. A że machiny karać niepodobna, więc i hypnotyk jest całkiem niepoczytalny. Złe, jakie zbroił, i umowy, jakie podpisał, jako nie pochodzące od jego *osobistości*, lecz wypływające ze stanu narzuconego, nie wymagają ani cywilnej, ani karnej pokuty. Uśpiony — to ślepe i martwe narzędzie w rękach operatora, tak pozbawione wszelkiej samowiedzy, że szkodliwość jego czynów nie obraża nawet prawników pozytywnych, którzy przecie utylitarne zło za jedynie karygodne uznają.

Niepodobna jednak przeoczać z Campilli'm faktów, które w pewnym stopniu za poczytalnością hypnotyków przemawiają. Psychologowie wspominają często o osobnikach, z pewną siłą, w różnych wypadkach różną, opierających się rozkazom magnetyzera. Zapytują więc słusznie: czy samo zgodzenie się na eksperymenta, które następnie mogą być niegodziwie wyzyskane, nie stanowi już pewnej winy podmiotu? Być może, powiadają, że niedaleka przyszłość ukazywać nam będzie w szajkach łotrowskich indywidua, dobrowolnie ofiarowujące swe usługi zamiarom złodziejskim, że ludzie z małą odwagą cywilną chętnie poddawać się będą hypnotyzmowi, by we śnie dokonać śmielej i energiczniej przestępstwa, które na jawie spełnić wzdragali się jeszcze?

W kraju, gdzie „pomarańcza dojrzewa,“ ale gdzie także kwitnie złodziejstwo na wielką skalę, nadmierna pobłażliwość Campillego wydaje się co najmniej dziwną. Co do mnie, to widzę już, jak potężna korporacya rzezimieszków i rabusiów szosowych, tucząca swemi niezliczonemi sprawkami nie mniej liczną rzeszę reporterów warszawskich — pierwsza wyciąga dłonie szlachetne ku nowym zdobyczom nauki i do celów swych zaprzęga hypnotyzm. Będzie to święcenie broni przez kapłanów rozszerzającej się coraz bardziej religii kradzieży. Rycerz przemysłu, pogrążony w sen, jeszcze łaciniej będzie grabić obywateli z pieniędzy, a naród z ziemi... poznańskiej, będzie z czystem sumieniem sprzedawać namiękłą od łez glebę prusakom...

Ale przeczuwam, że i świat literacki zyska coś na rozkrzewieniu hypnotyzmu. Bo oto dwaj specyaliści Robinet i Bergson, jak opowiada ten ostatni w *Revue philosophique*, stwierdzili mnóstwem umiejętnie prowadzonych doświadczeń, że w wielu wypadkach odgadywanie upatrzonych wyrazów, liczb, kart, portretów i rysunków przez uśpionych, okazuje się niewinnym plagiatem z siatkówki rozkazodawcy, na której w bajecznie zmniejszonych rozmiarach uśpiony odczytuje podobiznę poszukiwanego przedmiotu, jak w lustrze, bo w odwrotnym porządku. Dowodzi to niesłychanej nadczułości wzroku. Ilekroć eksperymentator zamykał oczy swoje lub nie dopuszczał do nich światła, albo też obierał temat w myśli, odgadujący mylił się. Toż samo okazało się przy odgadywaniu miejsca, w które np. ukłuty został magnetyzer; jeśli ruch ręki kolącej mógł być przez medium dostrzeżony — odpowiadało trafnie, w przeciwnym razie błądziło. Co zaś najciekawsze, to, że odgadując, udaje ono zawsze wysiłek, i stara się ruchami pokazać, że czyta książkę nie z odbicia w źrenicy stojącego nad nim obserwatora ale z pod spodu, po przez kilkaset kartek. Wzmiankowani uczeni upatrują tutaj bezwiedne kłamstwo i szarlatanerye i podnoszą je do znaczenia stałego objawu hypnotycznego. Czas pokaże, czy mają słuszność. Byłoby to w każdym razie pysznym ułatwieniem kleptomanii literackiej. Bo oto np. Zola pisze fejleton — a ja każę się uśpić i w oka mgnieniu przeczytawszy go, umieszczam na gorąco w jednem z... pism miejscowych. Czyż nie cudowny to wynalazek? *Rob. Dn.*

*) *L'irreligion de l'avenir.*

TYNDALL I HUXLEY WOBEC KANTYZMU.

II.

Powyższe ustępy wystarczają, zdaje mi się, do przekonania czytelników, że zaliczenie Tyndalla i Huxleya do zwolenników Kanta pozbawionem jest wszelkiej podstawy i mogłoby być wtedy chyba słusznem, gdybyśmy za jednym zachodem zaliczyli do nich i Spencera.

Że teorya Kanta mogła pośrednio wpłynąć na Tyndalla i Huxleya, dopomógłszy im do ostatecznego sformułowania swych poglądów filozoficznych, przeczyć temu nie myślę. Okoliczność ta atoli nie jest jeszcze dostatecznym powodem do umieszczenia ich w grupie tak zwanych neo-kantystów, obok Du Bois-Raymonda, Helmholtza i innych.

Wogóle p. Kaufman zbyt przecenia znaczenie kantyzmu, upatrując go tam nawet, gdzie go niema, każąc w nim widzieć teoryę, która jaknajbardziej odpowiada wymaganiom czasu i zgadza się jaknajściślej z wynikami nauk przyrodniczych. Pochodzi to, jak sądzę, stąd, że autor olśniony nadzwyczajnym rozrostem kantyzmu, którego wziętość uświęcają swą powagą tacy mężowie, jak Helmholtz, nie zadał sobie pytania: wśród jakich to okoliczności przywołany został do życia zapomniany przez czas tak długi system kantowski i jakim to warunkom czasu zawdzięcza on swe powodzenie?

Wiadomo powszechnie, że filozofia niemiecka, zbankrutowawszy na spekulacyi Heglowskiej, nie mogła się zdobyć na nic nowego. To też przez długi czas obracała się w zaklętem kole nawiązanych tradycyą dogmatów, podciągając je pod różne formułki, jakich jej dostarczali bezpośredni uczniowie Kanta. Formułki te, przerabiane, uzupełniane i objaśniane w sposób najrozmaitszy, służyły za punkt wyjścia dla wielu systematów filozoficznych, których głównem zadaniem była obrona spirytualizmu przeciwko materyalizmowi. Materyalizm, silny argumentami, zaczerpniętymi z nauk przyrodniczych, zdobywał coraz więcej gruntu i spychał spirytualizm z zajmowanego przeżeń dotąd stanowiska. Filozofia niemiecka, wyczerpawszy resztki sił, jakie jej jeszcze zostawały, znalazła się nagle w rozpaczliwem położeniu, bez nadziei ratunku. I wtedy po raz pierwszy dały się słyszeć wiele znaczące wyrazy: nie mamy nic innego do wyboru, tylko: albo powrócić do Kanta, albo przyswoić sobie filozofię angielską. Lecz duma narodowa nie pozwalała niemcom udawać się do obcych po mądrość — im, którzy dotąd uchodzili w oczach całego świata za naród filozoficzny *par excellence*. Trzeba było więc wrócić do Kanta. Wybór okazał się na razie bardzo szczęśliwym.

Kant w swej *Krytyce czystego rozumu*, zniósłszy antagonizm między naukami przyrodniczemi a spekulacyą, rozbrajał przez to samo materyalizm, a zarazem wzmacniał stanowisko spirytualizmu, przyznawszy przewagę nad doświadczeniem pierwiastkom apriorycznym umysłu. Zamknąwszy poznanie w granicach świata zjawiskowego, potępiwszy wszelkie zaciekania się w istotę rzeczy, odrazu pozyskał dla swej doktryny ścisłych badaczów przyrody, którzy empiryzmem czystym nie chcieli zadowolnić się, a do filozofii ówczesnej mieli słuszne uprzedzenie.

Z drugiej atoli strony, zburzywszy metafizykę swą *Kryt. rozumu czyst.*, pospieszył odbudować ją na nowych podstawach i w *Krytyce rozumu prakt.* przeznacza jej za punkt wyjścia rozkaz moralny. Jakoż ci, którzy nie mogli wyrzec się uroszczeń metafizyki i gotowi byli cofnąć się przed ostatecznymi wypadkami *Krytyki rozumu czystego*, w *Krytyce rozumu praktycznego* znaleźli to właśnie, do czego wzdychali — stały i niezachwiany, jak im się zdawało, punkt oparcia dla swych wycieczek w świat transcendentalny.

Tym porządkiem teorya Kanta, zawierająca w sobie tyle różnorodnych pierwiastków, zadawalała na razie wszystkie dążenia swego czasu w zakresie filozoficznym i stała się panującą w Niemczech.

Nie naprożno jednakże upłynęło od śmierci Kanta przeszło pół wieku czasu. W tym okresie dokonała nauka tylu odkryć, że wobec nich teorya mędrca królewieckiego nie mogła być zatrzymaną we wszystkich swych szczegółach. Rozpoczęło się przebrakowywanie w niej. Każdy, stosownie do swego temperamentu i zapatrywań osobistych, brał z niej to, co uważał za potrzebne dla siebie, resztę odrzucał, jako starzyznę na nic nieprzydatną. Prawowierni uczniowie swego mistrza zżymali się na wzrastające coraz bardziej odszczepieństwo, lecz zapobiedz mu nie zdołali. Stąd to, co dziś jest znane pod nazwą kantyzmu, przedstawia kierunek filozoficzny, którego wyznawcy tak dalece różnią się zapatrywaniami, że zaledwie w jednym punkcie łączą się z sobą. Jest nim właściwy Kantowi konceptualizm i wynikający zeń bezpośrednio agnostycyzm, którego hasłem: *Ignorabimus*.

Atoli sam ów konceptualizm, stanowiący istotę teoryi Kantowskiej, uległ tylu zmianom i ograniczeniom, że gdy tak dalej pójdzie, nie zostanie z niego nic zgoła. Ze wszystkich kategoryj, ustanowionych przez mistrza, a jest ich kilkanaście, uczniowie jego zatrzymują powszechnie trzy: czas, przestrzeń i przyczynowość, wszystkie zaś inne wyprowadzają z doświadczenia. Helmholtz zaś samej tylko przyczynowości przyznaje znaczenie transcendentalne, czas zaś i przestrzeń uważa za pojęcia nabyte. Spodziewać się więc można, że z czasem filozofowie niemieccy, idąc za przykładem Wundta, wszystkie wogóle pojęcia zaczną wyprowadzać z doświadczenia, a wtedy skończy się panowanie kantyzmu. Pozostanie chyba ta jego gałęź, która, opierając się na *Krytyce rozumu praktycznego*, szuka w jej założeniach rozwiązania zagadnień czysto metafizycznych.

Fakt, że kantyzm znalazł także licznych zwolenników między anglikami i francuzami, bynajmniej nie dowodzi niespożytej jego żywotności. Świadczy on tylko, że te same okoliczności, które przywołały go w Niemczech do życia, były również czynne w Anglii i we Francyi.

W Anglii panującą była filozofia szkocka, zdrowego rozsądku. Flozofia doświadczalna, w rzetelnem tego wyrazu znaczeniu, była zaledwie w zawiązku. Jedynym jej reprezentantem był James Mill. Że szkocka nie mogła zadawalać umysłów głębszych, widzimy z tego, iż jeden z najgłówniejszych jej przedstawicieli, Hamilton, był właśnie pierwszym, który zasady kantyzmu wprowadził do filozofii angielskiej. Że kantyzm utrzymuje się dotąd w Anglii, pomimo całego rozwoju filozofii doświadczalnej, pochodzi to stąd, że, jak zawsze, tak i teraz, wśród ludzi naukowych znajduje się znaczna liczba takich, którzy z właściwego im temperamentu zawsze muszą po za faktami dopatrywać się czegoś ukrytego i nieznanego i całą swą uwagę ku temu nieznanemu skierowywać.

Podobnież we Francyi do ostatnich prawie dni bieżącego stulecia panował wszechwładnie eklektyzm Cousina, zawdzięczający swą wziętość z jednej strony oratorskiej deklamacyi swego twórcy, który w braku lepszych dowodów odwoływał się do próżności narodowej, z drugiej — reakcyi przeciwko duchowi osiemnastego wieku, podjętej pod hasłem chrystyanizmu. Wystąpił wprawdzie przeciwko eklektyzmowi płytkiemu, pozbawionemu wszelkiej wartości filozoficznej, genialny Comte ze swym pozytywizmem. Ten ostatni nie mógł na razie skutecznie oddziałać na rozpalone głowy francuzów, którym nauka Cousina wydawała się szczytem mądrości ludzkiej. Comte zresztą, o ile z jednej strony zraźał do siebie stronnością i dziwactwami prawdziwie sekciarskiemi, o tyle z drugiej, potępiając bezwarunkowo metafizykę, był wstrętnym dla tych, którzy właśnie w metafizyce upatrywali istotę filozofii. Wobec jednakże szybkiego postępu nauk, nie mógł eklektyzm utrzymać się na swem stanowisku. Pozostało wybierać francuzom między kantyzmem a filozofią doświadczalną angielską. To też kiedy jedni, idąc za przykładem Renouviera, przystąpili do tak zwanej filozofii krytycznej, inni poszli za Ribotem.

W. Kozłowski.

WYKŁADY PRZYRODNICZE.

Pomijając cel wielce sympatyczny — zasilenie Kasy imienia Mianowskiego — tegoroczna serya odczytów przyrodniczych w Muzeum przemysłu i rolnictwa przyniosła wielką korzyść umysłową. Pożyteczenmi być mogą i bywają prelekcye odrębne, treścią między sobą niezwiązane, jakie urządziło i urządza Towarzystwo osad rolnych lub Dobroczynności. Ale niewątpliwie takie niespojone szeregi luźnie obok siebie postawionych tematów przewyższa grupa lekcyj, związanych organicznie i dotyczących pewnej dziedziny. Uwzględniając słusznie z jednej strony wielkie postępy, a z drugiej szerokie tymi postępami zajęcie się ogółu, grono przyrodników wybrało do pierwszej seryi swych wykładów elektrotechnikę. Sześciu prelegentów podzieliło między siebie najbardziej interesujące kwestye i zdobycze tej gałęzi: p. Dziewulski mówił o „źródłach elektryczności,“ „świetle elektrycznem,“ a ma mówić o „indukcyi i elektromotorach,“ p. Boguski o „elektrochemii,“ p. Milicer o „galwanoplastyce,“ p. Kramsztyk o „elektromagnetyzmie i telegrafii,“ p. Jędrzejewicz o „elektryczności atmosferycznej,“ zamknie zaś tę seryę p. Dobrzycki lekcyą o „elektryczności zwierzęcej.“

Ponieważ nie są to przedstawienia nowych wyników badań samodzielnych, lecz spopularyzowanie teoryj znanych i wynalazków dokonanych, nie podajemy więc szczegółowo treści każdego odczytu. Krytycznej oceny wymaga tylko forma i sposoby, jakich prelegenci użyli do uczenia publiczności. Otóż nie zaznaczając drobnych różnic, zależnych od większego lub mniejszego talentu pisarskiego i pedagogicznego, od większej lub mniejszej wprawy w mówieniu publicznem, przyznać musimy, że wszyscy wywiązali się ze swych zadań wybornie i przygotowali się do nich bardzo sumiennie, a czasem nawet imponująco. Objaśnienia ustne uwidoczniali stosownymi przyrządami. Te środki pomocnicze służyły swemu przeznaczeniu doskonale i stanowiły w wykładach czynnik niezmiernie ważny. Publiczność szybko i trwale zatrzymywała w myśli obrazy doświadczeń a z nimi zasady teoretyczne. Skutkiem tego bez przesady rzec można, iż dzięki wiedzy, pracy i dobrej woli prelegentów spłynął w jej głowy potok czystego i ożywczego światła — i to właśnie takiego, jakiego źródła u nas są bardzo skąpe. Przyrodoznawstwo nie posiada u nas upustów szerokich, a ponieważ jest ono jedną z najważniejszych dźwigni ukształcenia wogóle a dla społeczeństwa stilologizowanego w szczególności, przeto lekcyom w Muzeum przemysłu i rolnictwa nadajemy wagę znaczną. A i tym ludziom, którzy ciężar ten bezinteresownie podjęli należy się wielkie i szczere uznanie, którego same oklaski w całości nie spłacają.

Z faktem obywatelskiej ofiary uczących połączył się równie sympatyczny fakt licznego gromadzenia się słuchaczów. U nas, gdzie tyle razy spotkać można obojętność niesprawiedliwioną i szkodliwą, przyjemnie patrzeć na to zajęcie się sprawami naukowemi, na tę gotowość do oświaty, na tę łakomą chciwość wiedzy. Jest to objaw podwójnie cenny, gdyż świadczy o lepszym nastroju publiczności i zarazem da niewąt—

pliwie wykładającym zachętę do późniejszych w tym kierunku usiłowań, tak potrzebnych i tak korzystnych.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

J. Stevenson. *Mary Stuart* — a narrative of the first eighteen years of her life, principally from original documents. Edynburg.

We wszystkich historyach Maryi Stuart pominięto zupełnie prawie jej pierwszą młodość, którą postanowił przedstawić jeden z ludzi najlepiej ku temu uzdolnionych, znający wybornie epokę, wczytany w źródła a przytem gorący stronnik nieszczęsnej królowej. Podjął on tę pracę, ażeby oczyścić jej pamięć przed potomnymi. Autor, opisując tę pierwszą młodość Maryi, nie staje w sprzeczności z faktami późniejszymi, które jego bohaterkę potępiają. Jednakże piękna królowa, której postępowanie na dworze francuskim było bez zarzutu, jako dziewicy, żony i wdowy, nie mogła być kobietą przewrotną, skoro żaden głos jej nie potępiał. Późniejsze okoliczności jej życia były zbyt trudne, berło szkockie, którego wówczas nawet męzka dłoń utrzymać nie zdołała, zaciężyło jej zanadto, rzuciło w wir wypadków, w których charakter jej uległ pod wpływem złych doradców.

Stevenson kreśli nader zajmujący obraz ówczesnej Szkocyi, dumę jej panów, niesnaski i waśnie, podniecane jeszcze krętarską polityką Henryka VIII i jego córek, a na tem ponurem tle przedstawia postać młodej, pięknej, owego czasu cnotliwej królowej, rzuconej w wir burz wewnętrznych.

Hobart Pasha. *Sketches from my Life.* Londyn.

Autor tej niezmiernie ciekawej książki należał do najznakomitszych rodzin angielskich, nie wspomina jednak ani jednem słowem, że był młodszym synem księcia Buchingham. Mówi tylko, iż pochodził z zacnej rodziny. W szkołach uczył się źle, nie mogąc uledz rutynie; dzieckiem wszedł do marynarki i dostał się pod dowództwo jednego ze swoich kuzynów, który jednak obyczajem przyjętym przed pięćdziesięciu laty na okrętach angielskich, obchodził się z nim okrutnie. Zresztą Hobart nie kreśli wcale autobiografii, rzuca luźne kartki ze swego życia bez pretensyi żadnej, z prawdą i malowniczością, które nadają im wartość niezmierną. Będąc jednym z najodważniejszych ludzi, nie wahał się jednak opisać wrażenia, jakie na nim zrobił pierwszy ogień. Było to pod Sant Sebastyan, gdzie morska brygada angielska posiłkowała wojska Krystyny przeciw Don Karlosowi. „Kiedy — pisze — wleciał pomiędzy nas pierwszy granat i miał wybuchnąć, padłem twarzą na ziemię. Wtedy lord Hay, który stał obok, szarpnął mnie gwałtownie, mówiąc: „Wstań, nikczemny tchórzu, czy się nie wstydzisz sam siebie.“ Powstałem, wstydziłem się sam siebie, ale od tej pory nigdy nie byłem bez miłosierdzia dla tych, co drżeli w pierwszym ogniu, bo sam doświadczyłem okropnego strachu. Bitwa trwała parę godzin. Stopniowa bojaźń mnie opuszczała.“ I rzeczywiście nikt później nie mógł nigdy wyrzucać mu tchórzostwa. Życie jego było awanturnicze, a szkice opisują przygody z różnych krajów i stref. Wojna amerykańska północy z południem dostarcza niejednego zajmującego obrazu. Spokój był dla autora nieznośny. Po ukończeniu wojny amerykańskiej wszedł do służby tureckiej i zyskał w niej ogólny szacunek odwagą oraz nieskazitelnością charakteru.

The Reign of Quen Victoria. Londyn.

Jest to szczegółowe sprawozdanie ze wszystkich gałęzi administracyi, przemysłu, armii, kolonij, dokonane zbiorowemi siłami ludzi kompetentnych, które stanowić będzie ważny przyczynek do historyi ostatniego pięćdziesięciolecia.

Reminiscences of Abraham Lincoln by Distingnished Men of his time collected and edited by Allen Thorndyke Rice.

Książka ta zawiera wiele szczegółów, tyczących się nietylko znakomitego człowieka, ale i bardzo wiele ciekawych wydarzeń współczesnych, które jeśli nie rzucają nowego światła na postać Lincolna, uzupełniają historyę i uwydatniają bystrość, szybkość decyzyi a nadewszystko wielki rozsądek, stanowiący rys naczelny tego politycznego męża.

T. S. Dowse. *The Brain and the nerves.* Londyn.

Dr Dowse wykazuje na początku swej książki wielką rolę, jaką nerwy grają w naszym organizmie, dowodzi, jak często ich rozstrój powoduje nieszczęście domowe i staje na wspak wszelkim zamiarom; z tego powodu autor uważa, iż należy poznać ich działanie i zapobiegać pierwszym początkom zaburzeń, w których upatruje czynniki wszelkich chorób, tak funkcyonalnych jak organicznych. Zajmuje się więc specyalnie odnośną hygieną, daje wskazówki zapobiegawcze. Być może, iż jest on w swoich poglądach zbyt jednostronny, zważywszy jednak nasz sposób życia wyczerpujący i wielkie wzmożenie się chorób nerwowych, trzeba mu przyznać słuszność w wielu razach.

J. A. Symonds. *Renaissance in Italy*—The Catholic reaction. Londyn.

Katolicka reakcya we Włoszech stanowi dopełnienie nader ważnego dzieła Symondsa. Wiek XVI miał niezmierne znaczenie dla kultury, ale zawierał pierwiastki najsprzeczniejsze. Nauka i sztuki kwitły, ale moralność była w najwyższym upadku; najlepszym tego dowodem historya Medycyuszów lub Borgiów. W literaturze zjawili się tacy mistrze prozy, jak Machiavelli i Sarpi, w poezyi — jak Ariosto i Tasso, w sztuce tacy olbrzymi — jak Michał Anioł, Rafael i cały zastęp geniuszów pędzla i dłuta, których nazwiska błyszczą nawet obok tych dwóch pierwszorzędnych. Autor zatytułował swoje nowe dzieło „Reakcyą katolicką,“ bo rzeczywiście wobec reformy Lutra kościół katolicki przybrał postawę obronną, a konsylium trydenckie ustaliło dogmaty i nadało papieżom władzę stosowną do okoliczności, czyniąc z nich istotnie głowę kościoła wojującego. Wobec reformy dwór samych papieżów przybrał przyzwoitszą formę, chociaż wogóle papiestwo, zamiast poprawą obyczajów, zajęło się powstrzymaniem wolnej myśli. Inkwizycya i jezuici, te nieszczęsne dary, jakimi Hiszpania obdarzyła Włochy, stały się dla nich istną plagą, chociaż nie zdziałałyby tyle złego, gdyby nie znalazły stosownego gruntu w społeczeństwie.

J. Gairdner. *Letters and papers* foreign and domestic of the reign of Henry VIII. Tom IX.

O tej ważnej publikacyi zdawaliśmy sprawę przy wyjściu VIII tomu. Tom IX obejmuje sześć miesięcy czasu po śmierci Fishera i Moora. Król był pogrążony w ponurym niepokoju, jakkolwiek nie miał się czego obawiać, gdyż sterroryzowany kraj nie śmiał podnieść głowy. Teraz król prowadził walkę z papieżem, jak człowiek, który twierdzi, że nie wierzy w duchy, a pomimo tego się ich lęka—wyzywał papieża, drżąc przed nim. Ogłosił sam siebie głową kościoła w swoim kraju i postępował stosownie, znosząc klasztory. Tom obecny Gairdnera zajmuje się daleko więcej skutkami wewnętrznymi tego ogłoszenia, niż sprawami zewnętrznemi.

Trzeba też przyznać, iż rzadko nikczemniejszy tyran znalazł nikczemniejsze narzędzia swej woli. Klasztory zapewne ukrywały wiele złego, ale niezawodnie w najgorszym z pomiędzy nich nie znalazłoby się takich łotrów, jak ci, co wnosili przeciw nim oskarżenia. Królowa Katarzyna dogorywała powoli, córka jej Marya była przy niej także prześladowana. O Annie Boleyn mało jest mowy w tym tomie: starała się, by niczem nie obudzić podejrzeń swego straszliwego małżonka; była to w jej losie chwila ciszy, której jednak, znając go, dowierzać nie należało.

M.

FEJLETON.

Z ZACHODU.

VII.

Ostatnie dni karnawału. — Trzęsienie ziemi na pobrzeżu morza Śródziemnego. — Teorye naukowe. — Panteistyczna przygrywka. — Kto zyska?

Przewietrz, czytelniku, artykuł niniejszy, bo pochodzi z kraju, gdzie śmierć oddechem zabójczym powiała, a nie wiadomo, czy wnet powtórnie nie wionie. Śliczna rzecz: zasnąć żywym, a obudzić się pół-umarłym! — filozofowałem pierwszego dnia katastrofy, która spadła na nas z nieba, jak kula, a raczej, jak kuropatwa z pod nóg się wyrwała. Zaledwie odjąłem z twarzy niezbędną w ostatni wtorek maskę i zdrzemnąłem się pierwszym snem popielcowym, snem, osnuwającym zmysły wirem tańca, muzyki, szelestów, oddechów, zapachów i powłóczystych spojrzeń, więc lekkim, choć pokutnym — gdy koło godziny szóstej zbudziło mię silne, trwające kilkanaście sekund kołysanie, niby bujanie łódki, podnoszonej falą. Śnię — pomyślałem, poddając się miłemu uczuciu; wtem drugie i trzecie wstrząśnienie pouczyło mię o naturze tego nieproszonego budziciela. Szkło zabrzęczało, krzesła zadygotały, łóżko wraz ze mną przesunęło się na kółkach, zegar zamilkł. W jednych dzielnicach miasta to drganie, idące od wschodu na zachód, objawiło się silniej, w drugich słabiej. Przed miesiącem było ono wcale nieznane; dziś niema osoby, którejby, jak mnie, nie przebudziło. Rano widziałeś wszędzie po ulicach wystraszone, niedospane twarze, przeciągnięte strachem, południowym strachem, który ma oczy wielkie i czarne, prawie tak wielkie, jak u pięknych prowensalek, a podnosi do olbrzymich rozmiarów każde niezwykłe zdarzenie. Czyżby po Hiszpanii chciała natura nad Francyą poigrać, to przelewając wody na doliny Rodanu, to zasypując pomorze śniegiem, jakiego najstarsi nie pamiętają ludzie? Zbyt liczne naraz klęski nawiedziły ziemię trubadurów. *Pekaire!* Wczoraj wesołość nieujarzmiona, hulaszcza, rozkoszna opanowała ulice i bulwary, gdzie wodzili rej Pierrot i Poliszynel, maszkary wszystkich ludów i wszystkich czasów snuły się pstrokatą farandolą śród pisku fujarek i rzekotania kastaniet; powozy toczyły się za powozami, maski rzucały garściami *confetti* i kwiaty; w wązkich ulicach z okien na bruk sypała się fasola — nazajutrz workami mogli ją mierzyć biedacy; biada, kto się gniewał, biada, kto się cofał. Ostatnie bale maskowe zakotłowały się dziką sarabandą tłumów; świadczył karnawał, że zeszłoroczny urodzaj wina (w samym depart. Hérault 3 miliony hektolitrów) mimo *filokserę* i *mildew* pozwalał jeszcze na bardzo szumne wybryki. Północ wybiła, na szerokim placu spalono ostatniego, przedstawiającego Zapust bałwana, śród smętnego miserere: *Adiu paure, adiu paure, adiu paure Carnebal;* nikt nie myślał, co go jutro przerazi. Nadeszły telegramy, donoszące o spustoszeniu w Mentone, Monaco i Nicy, potem o strasznięjszej klęsce we Włoszech. Tam, w zatoce Genueńskiej było centrum wstrząśnienia. We Francyi odczuto je w departamentach: Korsyki, Varu, Alp morskich, Alp nizkich, Wokluzy, Rodanu, ujścia Rodanu, Izery, Drôme, Gardu, Héraultu, aż do Pyrenejów; we Włoszech w okolicach Liworna, Genui, Medyolanu, Turynu, Pawii, Sawony, Aleksandryi, Cuneo, Noli, Oneglii, Dianomariny. Miejscowe dzienniki i przejezdni opowiadają straszne zalęknienie niecejczyków. Sezon tegoroczny cieszył się szczególnym napływem cudzoziemców, który zwłaszcza z powodu słynnych miejskich karnawałowych uroczystości wzmógł się do olbrzymiej cyfry. Sceny, jakie odegrały się rano, zwła-

szcza śród kobiecego świata, świata najwyższych towarzystw Europy, miały przechodzić najśmielsze i najkapryśniejsze zachcenia niedyskretnych i ciekawych. Tego samego dnia opuściło Nicę 40 tysięcy osób, emigracya morzem i lądem trwa dalej; do zawalonych domów nikt wchodzić nie chce, a nie śmie do całych; ludność biwakuje na promenadach, na wybrzeżach, w powozach, anglicy przepłacają miejsca noclegu w wozach transportowych. W Mentonie zawaliło się 150 domów, Monaco i Monte Carlo zostały też ciężko nawiedzone, za to Cannes, jakby cudem, nie ucierpiało nic wcale.

W Nicy liczą 2 zabitych, 10 rannych, w Lebar 4 zabitych, 2 rannych; w Bollène 2 zabitych, 12 rannych; mnóstwo rannych w Châteauneuf, Mentonie i Monaco.

Dotychczasowe telegramy z Włoch donoszą o 9 zabitych, 11 rannych w Savonie, 16 zabitych w Noli, 300 zabitych w wiosce Bojardo zawaleniem się kościoła. A wszystko to jeszcze nieskończone; oczekujemy ze strachem dalszych wstrząśnień; we czwartek i w piątek powtórzyły się one dość lekko; zdaje się, że straszny kataklizm objawia dążność umiejscowienia się na wybrzeżu Włoch; do Narbony z jednej, do Genewy z drugiej strony dochodzą już ostatnie kręgi tych falowań.

A o karnawałowych podrygach matki ziemi rozpoczęły się naukowe spory, teorye wydobywane w takich razach z kurzu, nazajutrz zapominane. Jedni przypuszczają, opierając się na analogii wybuchów wulkanicznych, którym towarzyszą zazwyczaj wstrząśnienia, że gniazdo tych ruchów znajduje się na 11—27 kilometrów pod skorupą ziemską, że para, rozprężająca się w tych podziemnych kotłach, miota się, szukając miejsca, którem by wyjść mogła i w drodze do wulkanicznego otworu podnosi grunt; ciśnienie owej pary, zdolnej wyrzucać lawę Etny do wysokości 3,000 metrów, musi wynosić najmniej 1,000 atmosfer. Drudzy oddzielają od siebie te dwa zjawiska, wyznaczając im przyczyny odrębne. W trzęsieniu ziemi widzą ruchy pokładów zewnętrznych, rozkładające się na powierzchnię falowaniami i obejmujące to większe, to mniejsze przestrzenie. Mają one swoje centra; siła wstrząśnień sąsiednich stoi w stosunku odwrotnym do promienia. Póki hypoteza ognia centralnego była w poważaniu, trzęsienia ziemi tłomaczyły się sposobem prostym; obecnie przypuszczają uczeni raczej ogniska odrębne, które procesami chemicznymi odżywiają wulkan; z drugiej strony zaś przestrzenie próżne, które powodują trzęsienie ziemi przez zapadanie się ścian.

Oto wiązanka katastrof z dziejów naszej karmicielki: w r. 526 trzęsienie ziemi zabrało na pobrzeżu morza Śródziemnego 120 tysięcy ofiar; 1693 r. na Sycylii 60 tysięcy; 1755 r. w Lisbonie 30 tysięcy ginie pod gruzami i w falach morza; w 1883 r. Casamicciola na wyspie Ischii traci 3,000 ludzi; tego samego roku wybuch wulkanu Rawatoe na wyspie Karakatoa kończy się wyrwaniem wyspy tej z posad i zatonięciem w morzu. Huk eksplozyi słyszano na 1,200 kilometrów; morze, połknąwszy olbrzymią masę lądu, rzuciło się falą na Jawę i Sumatrę, pustosząc brzegi i zabierając 50 tysięcy ofiar. Podnoszenie się morza przy wstrząśnieniach obserwowano wielokrotnie; w Lisbonie spiętrzyło się ono do 20 metrów, zlizując po trzykroć ruiny miasta; Algier i Marokko utraciły wtedy 10 tysięcy ludzi. Obecnie zaznaczono podniesienie się powierzchni morza w Cannes; naprzód zapadło na 1 metr, następnie dźwignęło się o 2.

Więc nigdzie równowagi: ani w podziemiu ani na ziemi; wszędzie walka, cierpienie i śmierć? Jakież męki cierpi w wnętrznościach swoich nasz glob, że mu tak skóra drży febrycznie? A może otrząsnąć się tylko chce z tych głupich cacek cywilizacyi, które my nazywamy miastami, a które dlań wraz z życiem ludzkiem nie znaczą nic i spędza je z siebie jak słoń, gdy mu dokuczają muchy? Znać jednak ulgę czuje po takich wstrząśnieniach, skoro uspakaja się na długie lata. Dobrze mu w nich, więc skądże nam prawo skarżyć się bezsilnym— i skarżyć komu? Tak rozdziela się w świecie dobre i złe: jednym rozkosz, drugim z tej rozkoszy cierpienie. Tworom owym nieznanym rozkosz, bo kto mi powie, że nie cierpiały atomy gazu, ściśnione tam w głębi i rozpierające się ku wolności, i że nie czują szczęścia teraz wyzwolone i pędzące, gdzie lotna natura gna?

Lecz panteizmowi dajmy pokój; wszak na ziemi nieszczęście takie nikogo ucieszyć, nikomu zysku przynieść nie może. Nikomu?... Ach, powiedzieć zgroza i żal. Nazajutrz ze wszystkich ambon zagrzmiało ogłoszenie kary bożej. Okoliczności złożyły się istotnie zastanawiająco: zeszłego roku katastrofa na kolei w Monte-Carlo wydarzyła się w popielcową środę, dziś w tenże sam dzień nieszczęście nicejskie. Któryż umysł prostaczy nie pozwoli wmówić w siebie bożego palca, karzącego za karnawałowe bezbożności? Nie należy nawet w kaznodziejach przypuszczać złej woli; oni z zestawienia faktów wyciągają wnioski, w które wierzą może sami. Ale ten fatalizm, że Kościół czerpie siłę nie z bujnych łanów i winnic obfitych i słońca, ale z pomoru, głodu i pożarów, które rzucają śtrach i niewolnicze zginają kolana... i wydzierają fanatycznemu arabowi z piersi modlitwę:

„O bądź-że mi ty pochwalony Allah!

Czy to nie przerażające? Wołamy: przekleństwo kłosom, co wyrosły na krwi... a kłosy się pysznią słońcu swoją złotą kiścią i urągają ciałom, na których wyrosły, spokojne, bezpieczne, szczęśliwe.

Egrot.

LIBERUM VETO.

Wystawa hygieniczna w postaci idealnej. — Gotowe okazy dla jej postaci realnej. — Okazowe mieszkanie stróża. — Towarzystwo przyjaciół zdrowia. — Rada dla autorów ustawy. — Porządny przymus. — Kąpiel i miłość.— Helenizm pogański.—Wieczny sen *Świtu.*— Organ równouprawnienia, wprowadzający nierównouprawnienie. — *Bluszcz* i *Świt* wobec zagadek wiedzy. — Dwa adresy prawdy. — Tania *Encyklopedya rolnicza.* — Zachęta do naśladownictwa. — Konkurs, którego jeszcze nie było.

Czy dziś zdrowie jest pożądane — nad rozstrzygnięciem tego pytania pesymizm każe się dobrze zastanowić. Bo na co? — pytają mieszkańcy Pragi, którzy znieśli jedyną u siebie łaźnię „chrześciańską.“ Na to, żeby przedłużać sobie cierpienia, którym żadna hygiena nie zapobiegnie? Teraz należałoby raczej wynaleźć sposób redukcyi życia lub wskrzesić teoryę Maltusa, poprawiwszy ją tylko dodatkiem, że jeszcze dzieci wykarmić wprawdzie można, ale dorosłych skazywać na istnienie szkoda. Propozycyom pesymizmu wszakże instynkt zachowawczy przeciwstawia jeden mocny argument: nie żyć — zgoda, lecz jeśli żyć — to zdrowo. Pogląd ten stworzył wystawę hygieniczną, przeciwko której naprzód protestowało kilku lekarzy, a potem mieszkańcy Pragi, pragnący popełnić na sobie samobójstwo brudem. Na tej pouczającej „ekspozycyi“ będą okazane rozmaite rzeczy, mające i niemające związku ze zdrowiem, ale tylko w postaci idealnej. Być może jednak, że po tym popisie inne grono, hołdujące „naturalizmowi,“ przedstawi to samo w postaci realnej. Która z tych dwu form społecznej metody poglądowej byłaby bardziej pouczającą—nie orzekam, ale zdaje mi się, że druga nie ustępowałaby pierwszej siłą przekonywającą. W pewnym domu przy ulicy Długiej otworzyłem drzwi mieszkania stróża, którego chciałem poprosić o przewodnictwo po ciemnych i krętych schodach domu. Odrazu buchnęło na mnie z komórki tak straszne powietrze, że omal jak wyrocznia starożytna nie zacząłem bezprzytomny wróżyć. Ochłonąwszy, zajrzałem do środka: niby w brudnej pace, która zaledwie pomieściła jedno łóżko i stolik, spostrzegłem rojących się siedmioro istot. Kaganek naftowy z braku tlenu przygasł, tylko swędził, kopcił, daremnie usiłując swą przykrą wonią zwyciężyć ostre wyziewy nory. Czem te płuca oddychały — nie rozumiem; jakim sposobem nie zagościły tu choroby i nie wydusiły wszystkich — jest to wielką tajemnicą hygieny. Natomiast pojąłem, że przesiadywanie w bramie, praca na ulicy lub w podwórzu — to najprzyjemniejsze chwile stróża. Była tu u was komisya sanitarna? zapytałem tak dowcipnie i wesoło przezwanego „rycerza miotły.“ — Bywa codzień *z cerkułu*, ale nie wchodzi, tylko dzwoni z bramy — odrzekł biedak, nie zgadując mojej myśli. Ach, gdyby tę jego komórkę można było przewieźć z żywym pakunkiem na wystawę hygieniczną! Siedmioro stworzeń otrzymałoby niewątpliwie medal złoty — za umiejętne oddychanie bez powietrza. Zaproponowałbym okazanie jej, gdyby zamierzona „ekspozycya“ nie wyłączała naturalizmu i nie uwzględniała wyłącznie przedmiotów idealnych. Skutkiem takiego kierunku, ów wymowny „dokument życia“ musi pozostać w ukryciu — po za konkursem, bo nie o to chodzi, jak żyjemy, ale jak żyć powinniśmy. Przypuszczam, że na wystawie znajdzie się wzorowe mieszkanko dla stróżów, czyste, widne, obszerne, przed którem Walenty stanie zdumiony, cmoknie i powie do Walentowej: „O tego trzebaby się przypytać, może potrzebuje stróża.“ Niech go szuka!

Twórcy wystawy hygienicznej tak się rozmarzyli, że zamierzają założyć „Towarzystwo przyjaciół zdrowia.“ Według tytułu, powinnoby ono mieć prawie tylu członków, ilu mieszkańców liczy Warszawa (bez Pragi, która, jak wiadomo, czuje wstręt do łaźni). Ale zważywszy, że uczestnicy będą musieli płacić rocznie 6 rs. składki, do tego czytać rozmaite wydawnictwa i słuchać wykładów, obawiam się znacznego zmniejszenia tej liczby. Już samo regularne płacenie przechodzi siły rzetelnego nadwiślanina, a jeszcze czytanie — „w tak ciężkich czasach“ — jak powiada pewien światły obywatel, zmuszony odmówić sobie prenumerowania *Gazety warszawskiej* — to nad siły nasze! Ale chociaż ustawa „Towarzystwa“ została już ułożona, radzę jego zarządowi wprowadzić do niej choć odrobinę władzy egzekucyjnej. Właściwie bowiem przyjacielem zdrowia każdy prawy nadwiślanin jest wtedy, gdy go mocna ręka za czub weźmie i do hygieny nagnie, zupełnie jak polski woźnica, który oszczędza konia, gdy pamięta, że na niego patrzy niewidzialny członek Towarzystwa opieki nad zwierzętami. My namiętnie lubimy swobodę, ale sądzimy, że nieocenionym jest „porządny przymus.“ Gdy on nad nami czuwa, nie sprzedajemy lasów, przewietrzamy fabryki, nie chowamy kur i kaczek na schodach, dopilnowani również mylibyśmy się dwa razy na dzień, kąpali raz na tydzień, jak „brudni żydzi,“ nie dusilibyśmy dzieci w tłoku kiermaszów itd. Czasem radzi jesteśmy pobudce zewnętrznej, która zdecyduje nasze lenistwo. Kąpać się, czy nie kąpać — hamletujemy dziś z widocznym wstrętem do wody; ale gdybyśmy co pewien czas musieli złożyć kartkę z łazienek rządcy domu dla biura statystycznego, nietylko odbywalibyśmy tę powinność, ale nawet byli z jej skutków bardzo zadowoleni. Bo przedewszystkiem zmniejszyłaby się liczba chorób, a może i rozwodów. Kąpiel stanowczo wpływa na miłość— niech o tem pamiętają Abelardzi i Heloizy. Jestem pewien, że gdyby religia nie zmuszała żydów do odwiedzania co piątek łaźni, korzystaliby oni daleko częściej z prawa rozwodowego.

Jest to naturalnie tylko jeden punkt programu „Towarzystwa przyjaciół zdrowia,“ które wiercić będzie głuche uszy innymi jeszcze świderkami hygienicznymi, dopóki nie doczeka się klątwy za swą działalność bezbożną. Boć przecie obowiązkiem duszy prawowiernej nie jest krzepienie, ale umartwianie ciała. Mam jednak nadzieję, że projektowane Towarzystwo nie odrodzi w nas helenizmu pogańskiego, który podczas uroczystości religijnej z zachwytem patrzał na piękną Lais, wychodzącą nago z morza, jako nowonarodzoną z piany Venus, który czcił piękno fizyczne i rzeźbił je w posągach, który nie znał — według Heinego — żydowskiej pruderyi, okrywającej nas gazą obłudy.

Byłby to ładny temat do artykułu w *Świecie*, który daremnie budząc kobiety, sam wreszcie zasnął. Widocznie *rouge* literackie na rulecie dziennikarskiej p. Lewenthalowi nie dopisuje. Była to rzeczywiście barwa dla członka gminy Zakonu Starego i obrońcy Nowego nieodpowiednia. Z drugiej strony przyznajmy, że pismo postępowe dla kobiet jest takim samym dziwolągiem, jak np. kalendarz bez świętych dla katolików. Z dwojga jedno: albo kobieta jest człowiekiem i wtedy użytkuje z tych samych pism, co mężczyźni, albo jest „aniołem ziemskim,“ „kapłanką,“ „bluszczem,“ oplatającym pnie męzkie, i wtedy czyta *Bluszcz*. Pismo zaś, które domaga się równości i zarazem ją znosi tam, gdzie ona istnieje — w czytelnictwie, pismo, które wprowadziłoby kobietę na wszystkie stanowiska zajęte przez mężczyzn, a jednocześnie uznaje potrzebę własnego odrębnego istnienia, pismo, które dla usprawiedliwienia racyi swego bytu musi odbywać ruchy wahadłowe — nie ma podstawy ani społecznej, ani umysłowej. Miałoby ją tam, gdzie służyłoby za oręż do wywalczania pewnych praw i swobód praktycznych, ale u nas, gdzie obie płcie swojskiego rodu mają wyznaczone niemal jednakie pole działań uprawnionych — do walki takiej brak materyału. Nie przeczę, że pewne umysły dopiero fermentujące i nieskrystalizowane, pewne poczwarki niewieście, co to chciałyby i modnie się ubrać, i „das ewig Weibliche“ w sobie pielęgnować, i emancypacyą się popisać — znajdowały w *Świecie* odpowiednie dla swej głowy oświetlenie, ale większość narzekała albo na jego złe mody i pozytywizm, albo znowu na zalecaną dla złagodzenia promieni wiedzy zieloną umbrelkę i parasolik. Zarówno prawica jak lewica były niezadowolone. *Bluszcz* jasno wie, dokąd dąży: daje swym czytelniczkom gustowne (tak znawczynie twierdzą) wzory strojów i papkę idealną, galaretę przygotowaną według poprawionych przepisów Tańskiej — i koło jego stołu zasiada podobno kilka tysięcy biesiadniczek. Natomiast *Świt* związał ogonami owcę z wilkiem i dziwił się, że te dwie istoty albo usiłowały rozerwać się, albo mocniejsza słabszą pożreć. Zastępuje np. drogę obu pismom kwestya pochodzenia rodu ludzkiego. *Bluszcz* otwiera Biblię i czyta rzewnym głosem odpowiedni jej rozdział; natomiast *Świt* usiłuje natrętkę ominąć, a jeśli nie może, szepcze, spuściwszy oczy: nie mamy sił dla złamania pieczęci, zamykającej tę tajemnicę; Darwin był wielkim człowiekiem, ale w tej sprawie nie zdołał zedrzeć zasłony. Ale którąż ewangelię uważasz, redakcyo, za prawdziwszą, biblijną, czy darwinowską? — pytają niecierpliwe czytelniczki. Redakcya wzdycha i mówi: niewiadomość nasza jest oceanem, w którego głębiach prawdy spoczywają jak perły; Darwin był dzielnym nurkiem... Ale czy znalazł i wyniósł perłę? — pytają dalej. — Muszla jeszcze nie otwarta — powiada zakłopotana świtezianka — zresztą niewiadomość jest przestrzenią bezdenną, w której prawdy błyszczą jak niedoścignione gwiazdy. I tak dalej. Wogóle *Bluszcz* w odpowiedziach swych dawał dokładne adresy prawdy, a *Świt* bardzo niedokładne, z czego p. Lewental był kontent, bo w tych sprawach za biuro informacyjne służyć nie może.

Niewątpliwie na śmierć tego pisma wpłynął także ogólny ubytek czytających. Kursa pism spadły w roku bieżącym jeszcze niżej, a niektórych tak nizko, że „krach“ jest oczekiwany. Wróżbę tę każdy powtarza i nikogo jej powolne spełnianie się nie dziwi. Rok obecny usypie może w prasie niejedną mogiłkę. Smutny to cmentarz, bo w jego grobach spoczywają zmarnowane bezpłodnie środki, dobre nieraz chęci, wytężone prace i zawiedzione nadzieje. Pomór zaś wywolują głównie nierozważne, istotnie potrzebom społeczeństwa nieodpowiadające współzawodnictwa.

Otóż właśnie będziemy mieli dwie *Encyklopedye rolnicze*. P. Kotłubaj ustąpił, ale nie ustąpił p. Strzelecki, który nie zważa na przedsięwzięcie Muzeum i takie samo wydawnictwo rozpocznie. *Hodowca*, ogłosiwszy naprzód, że wydrukuje *Encyklopedyę* własną, potem, że swym abonentom da muzealną, teraz przerzucił się do owej trzeciej. Czy odurzeni tą zmianą prenumeratorzy są pewni, jaka obietnica za tydzień ich spotka — wątpię. Cała ta sprawa wygląda nieco na licytacyę z odstępnem, a powinnaby wyglądać inaczej, poważniej. Szczęście, że w niej nie występują żydzi i że skutkiem tego nia mamy żadnego powodu do uśmiechów ironicznych. Ale, ale, czy też nikt się nie znajdzie, coby zaczął zeszytami wydawać „*Janinę*, fragmenty historyczne z czasów panowania Jana Kazimierza, Michała Korybuta i Jana III Sobieskiego w 400 pieśniach,“ bo p. Teodor Michał Sęczkowski już jeden fragment wypuścił.

Może też wchodzimy w epokę oryginalności... *Wędrowiec*, który zawarł siódme małżeństwo wydawnicze, ogłasza następujący konkurs: „Rozwinąć i uzasadnić, o ile leży w interesie społeczno-moralnym, aby dwaj ludzie, którzy nie mają powodu do wzajemnego szacunku, zachowywali jednak (lub nie) względem siebie rozmaite formy etykietalne, jak zdejmowanie kapelusza na ulicy, podawanie sobie ręki w salonie itd.“

Nieprawda, ben Akibo, nie „wszystko już było“?...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Towarzystwo rolnicze w Mińsku. — Miraż tradycyj dawnych. — Syn marnotrawny. — Kalifornie. — Jeki rolników. — Wywody domorosłego ekonomisty. — Ludzie bez pracy.

Pożyteczna instytucya na Litwie, Towarzystwo rolnicze w Mińsku, od pewnego czasu prześladowana jest systematycznem niepowodzeniem. Towarzystwo poniosło strat 1400 rs. wskutek niepłacenia składek przez ludzi zamożnych, obywateli ziemskich (składka wynosi 10 rs. rocznie). Członkowie czynni musieli się chwycić ostateczności — odczytać na posiedzeniu wyrok potępiający niesumiennych uczestników. Czy to jest skuteczny środek — wątpię bardzo.

Ci panowie, którzy narzekają na zanikanie i lekceważenie tradycyi, mogą się pocieszyć świeżym dowodem zachowywania jej. Oto przykład, dostarczony *Kaliszaninowi* przez korespondenta z okolic Stawiszyna. Na kilka tygodni przed wyborami gminnymi, kandydat do urzędu na targach i jarmarkach werbuje po szynkach przyszłych wyborców za pomocą kieliszka. Ktoś z zaufanych lub przyjaciół napomyka: „Kmoter mógłbyś być wójtem; umiesz czytać, znasz numera.“ Zagadnięty niby na to nie zważa, lecz każe podać kwartę wódki. Wieść o sympatycznym kandydacie szybko się rozbiega. Na innych targach i jarmarkach to samo się powtarza, zwolenników przybywa coraz więcej. W dzień wyborów pretendent staje na drodze i zaprasza do szynku idących na zebranie; następnie wszyscy udają się do kancelaryi i... wybór pewny. Na zapytanie zadane gromadzie, czemu nie wybrali kogoś godniejszego? — odpowiadają: bo skąpy! Tak i dawniej bywało śród „starszej braci,“ tylko że wówczas pobudzał miód, a dzisiaj — siwucha.

Od czasu do czasu pojawiające się w pismach cyfry smutnie świadczą o stanie posiadłości rolnych w guberniach zachodnich. *Wil. Gub. Wied.* podają wykaz 184 majątków, przeznaczonych na sprzedaż z powodu niezapłacenia podatków: państwowych, ziemskich, kontrybucyjnych i na duchowieństwo. W gubernii podolskiej, według wykazu statystycznego, w jednym tylko powiecie kamienieckim w ciągu dwóch lat ostatnich przeszło 12,000 dziesięcin ziemi zmieniło właścicieli. Nowymi nabywcami są: mieszczaństwo, wschodnie duchowieństwo i włościanie. Ci ostatni przeważają liczbą i energią; wiążą się w kółka i w bankach szukają zapomogi dla wspólnego zakupywania ziemi. Kółek takich w powiecie kamienieckim jest 8, liczących ogółem 500 członków, którzy nabyli 2,254 dziesięcin gruntu. Ciekawe byłyby dane, ilu właścicieli większych upada wskutek 1) niezaradności, 2) lenistwa i 3) marnotrawstwa. Przeważnie wpływają na to przyczyny całkiem inne, wszakże trzecia z wymienionych działa niezmordowanie. Na poparcie przypuszczeń mogę podać żywcem wyjęty ze stosunków obecnych na Litwie obrazek „syna marnotrawnego,“ który nie powinien być, według wzoru przypowieści Chrystusowej, przyjętym do domu. Młody magnat jeszcze niedawno był posiadaczem 75,000 dziesięcin gruntu z nieprzebraną skarbnicą leśną. Miliony tam spoczywały, które przy umiejętnej gospodarce możnaby z błot, lasów i pól wydobyć, nie wyrządzając szkody olbrzymim przestrzeniom. Inaczej się stało. Młody dziedzic w ciągu kilku lat zdołał swoje mienie obarczyć niespełna milionem rubli długu. Wpłynęły na to rzeczy niewinne, zabawki! — podróże za granicę, mieszkania w hotelach pierwszorzędnych, przedmioty zbytku, sprowadzane przeważnie z Paryża, a przy kosztownej restauracyi pałacu deski sosnowe... z Warszawy! Pieniądze na ten cel pochodziły ze sprzedaży odwiecznych sosen masztowych we własnym majątku. Tym sposobem olbrzymi konar szlachecki runął od razu. Byłoby to rzeczą zupełnie obojętną, a nawet pomyślną, gdyby ten wypadek równał się wycięciu narośli w organizmie zdrowym bez żadnych złych następstw; ale to smutna, że ta narośl chorobliwa za daleko zapuściła swoje korzenie, rujnując setki rodzin skromnych oficyalistów. Obcy nabywcy majątku nie zaliczą do swego *inwentarza* sporego zastępu służby dawnej. Jaka zaś nagroda spotyka ludzi za długoletnią pracę, najwymowniej dowodzi fakt wyrzucenia z posady starca przeszło 70-letniego po 35 latach ciężkiej pracy za to, że ten miał zanadto czyste sumienie i tak bystry wzrok, iż wybornie dostrzegał łapanie ryb w mętnej wodzie ruiny majątkowej przez naczelnych przedstawicieli „zarządu leśnego.“ Faworyzowane mewy dotychczas cieszą się bezwzględnem zaufaniem tonącego dziedzica, a skromni pracownicy, po długoletnich trudach, sterani, bezsilni, szukają przytułku... w chatach włościańskich.

Za lat kilka obszary owego pana polskiego zmienią się do niepoznania. Po spławieniu sosen wspaniałych na Bałtyk i morze Czarne, przyjdzie kolej na oddawna leżące kłody i wierzchy, z których sprytni kulturtregerzy potrafią sumy olbrzymie wyciągnąć. Wówczas korespondenci prowincyonalni i mieszkańcy nizin, szeroko otworzywszy oczy i usta, będą podziwiać nowo odnalezioną „Kalifornię polską,“ jak dzisiaj *Wiek* ze swoim korespondentem, podziwia „Kalifornię wołyńską.“ Jużeśmy się nieco napatrzyli na te kopalnie, odkrywane pod

naszemi stopami. Fakt jednak, podany przez korespondenta *Wieku*, może zadziwić nawet przyzwyczajonych do bezwiednego oddawania skarbów z rąk własnych obcym.

Książęta Lubomirscy sprzedali majątek Dubno (20,000 morgów lasu i kilka folwarków) za 120,000 rs. Wkrótce potem znalazł się nowy nabywca, który za ten sam majątek zapłacił 240,000 rs. Drugi właściciel nie zdołał się rozejrzeć, gdy wprost z Berlina przybył trzeci, który za samo tylko prawo wyrąbania starodrzewu w lesie ofiarował gotówką z góry 280,000 rubli. Właściciel majątku był pewny, że już nikt nie może świetniejszego zrobić interesu. Tymczasem kupiec berliński oblicza dochody z nabytego starodrzewu na miliony rubli. Firma berlińska (Wilhelm-Kene) zakłada w lasach dubieńskich kolonię niemiecką, Keneberg, buduje na wielką skalę tartak parowy, przeprowadza odnogę kolei z drogą południowo-zachodnią, urządza przystań na Ikwie (dopływie Styru), ściąga niemców: administratorów, dozorców, majstrów i robotników. Za lat kilkanaście, po wycięciu starodrzewu, pozostanie jeszcze piękny las młody.

Obrazek ten pouczający może w niejednym wypadku wskazać kwilącym po pismach ziemianom źródło „zastoju ekonomicznego,“ „ogólnej stagnacyi,“ „rozpaczliwej doli rolników“ itd.

Skoro możni napełniają świat rozpaczliwym jękiem, to cóż się dzieje z pozbawionymi dochodu i zarobku? I o nich czasem słówko współczucia się znajdzie, ale to najczęściej wtedy, gdy widnokrąg ziemiański, pozornie czy rzeczywiście, jaśniej się przedstawia. Tak np. jeden z korespondentów, ekonomista domowego chowu, wywróżywszy ze smutnego stanu cukrownictwa pomyślniejszą przyszłość dla rolników, rzuca kilka wyrazów litości tym „biednym ludziskom“ z zamkniętych cukrowni. Nie szczędzi i pociechy: „Zamknięcie cukrowni może zwęzić (?) środki zarobkowania. Niebezpieczeństwo istotnie zagraża, ale przewidywany powrót do tanich cen na wszystkie niezbędne przedmioty może poprawić położenie robotników.“ Korespondent nie pisze, za co te „tanie przedmioty“ robotnicy pozbawieni pracy będą nabywać. Takich robotników jest już dzisiaj spory zastęp. Oto dane statystyczne: w 48 cukrowniach gubernii podolskiej pracowało 17,328. Cztery fabryki niedawno zamknięto; zatem biorąc przeciętną cyfrę, 1,444 robotników pozostaje dzisiaj bez chleba. Zwróćmy na to uwagę, że nie z samych tylko cukrowni wychodzą setki ludzi bez chleba. Rolnicy, ograniczając wydatki, zmniejszają etat swoich oficyalistów. Nareszcie i koleje żelazne chwyciły się tego sposobu. Droga Libawsko-Kowieńska przed kilku jeszcze laty przewoziła 896 wagonów ładownych dziennie, co dawało dochodu pięciętnie 107,500 rs. Dzisiaj przechodzi zaledwie 128 wagonów dziennie, dając 15,400 rs. dochodu. Na drogach południowo-zachodnich mniej więcej rzecz się ma tak samo. Skutkiem tego znacznie zmniejszono liczbę oficyalistów. Setki konduktorów, maszynistów, palaczów, telegrafistów pozostało bez miejsca.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

W ministerynm skarbu rozpoczęły się narady nad monopolem tytuniowym w Rosyi.

Cukrownia w Gniewaniu, ubezpieczona na milion rubli, spłonęła.

W kopalniach Borysławskich, w największej szachcie nafty, nastąpił wybuch, w którym robotnicy zginęli.

Warsz. Dniewnik donosi, że generał-gubernator zrobił uwagę warszawskiemu oddziałowi Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu, iż według ustawy instytucya ta nie posiada prawa rozpatrywania kwestyj o nadaniach i urządzeniu włościan w Królestwie Polskiem. W innych wypadkach, gdy zajdzie potrzeba zbierania wiadomości co do spraw podlegających krytyce, Towarzystwo powinno zawiadamiać właściwych gubernatorów, komu mianowicie to zadanie powierza.

Ministeryum spraw wewnętrznych zezwoliło warszawskiej gminie starozakonnych na powiększenie o 1,400 rs. kredytu z funduszów gminy na utrzymanie żydowskich szkół początkowych w Warszawie, z warunkiem użycia tej sumy na poprawienie stanu materyalnego już istniejących.

Wyrok. Sąd wojenny skazał sztabs-rotmistrza Własowa, za wykroczenie w czasie pełnienia godności adjutanta warszawskiego okręgu żandarmeryi, na pozbawienie praw orderu św. Stanisława kl. III, medalów na pamiątkę wojny 1877—78 r., wszystkich praw osobistych i służbowych oraz przywilejów i na mieszkanie do gubernii tobolskiej przez rok jeden i cztery lata pobytu na Syberyi.

Sprawy kryminalne — według *Nowosti* — sądzone będą i nadal publicznie, z wyjątkiem obrażających moralność ogólną, które rotrząsane być mają przy drzwiach zamkniętych.

Studenci katolicy w Instytucie rolniczo-leśnym w Nowej Aleksandryi (Puławach) stanowią 45%. Pochodzą przeważnie z okręgów naukowych kijowskiego i wileńskiego. Do Instytutu nie mają obecnie wstępu żydzi.

W uniwersytecie petersburskim odznaczeni zostali następujący studenci polacy: na wydziale matematycznym Jan Sipajło, stud. IV kursu — premium i zjazdu przyrodników rosyjskich za rozprawę „O zasadach ogólnej teoryi funkcyj od zmiennej zespolonej“; na wydziale prawnym Jan Bessed, stud. IV kursu — odezwę pochwalną za rozprawę z prawa międzynarodowego; na wydziale filologicznym Władysław Supiński, stud. II kursu — medal srebrny za rozprawę o dziele Lucyana: „Metamerfozy Apuleusza.“

Zapisy. Obywatel Karol Burkhart, zmarły w Piotrkowie, poczynił zapisy na instytucye dobroczynne w Warszawie, Piotrkowie i Radomiu. Ogólna suma wynosi 73,500 rs. Z tego przypada: na zakład paralityków i nieuleczalnych w Warszawie rs. 4,000, dla Biura informacyjnego nędzy wyjątkowej w Warszawie rs. 2,000. dla Tow. dobroczynności w Piotrkowie rs. 55,100, Tow. dobroczynności w Radomiu rs. 12,000 i na kościół parafialny w Piotrkowie 400 rs.

Warszawska Rada dobroczynności publicznej przyjęła zapis hr. Maryi Stadnickiej, rs. 3,000 na utrzymanie jednego łóżka imienia ofiarodawczyni w szpitalu dla dzieci.

Dochód z balu, danego w Ratuszu na korzyść warszawskiego szpitala dla dzieci, wynosi rs. 5,218 k. 49.

Dobra Ojców z doliną Prądnika i kilku folwarkami wystawiono na sprzedaż publiczną.

P. J. Kirszrot-Prawnicki obszerną książkę poświęcił Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu. Nad pracą tą zastanowimy się szczegółowiej.

Na konkursie *Gaz. rolniczej* w r. 1885 odznaczoną została rozprawa p. Korzybskiego, podająca środki osuszania gruntów bagnistych i sapowatych. Ponieważ autor przeprowadził swoją teoryę praktycznie w majątku własnym, wysłano więc dla zbadania rzeczy delegata, który orzekł, że p. Korzybski istotnie obmyślanym przez siebie sposobem grunta mokre osuszył, a nieużytki zamienił na pola orne. Rozprawa jego ma wyjść niedługo w druku.

„Nadzieja,“ stowarzyszenie spożywcze w Dąbrowie Górniczej. w ciągu dziewięciomiesięcznego istnienia (od 7 września 1886 r. do 6 stycznia r. b.) dała stowarzyszonym rs. 2,586 k. 21 zysku od rs. 6,713 kop. 20 przy rs. 42,045 k. 89 obrotu.

Societé des Prevoyants. Pod tą nazwą istnieje w Paryżu kółko robotników, którego członkowie od codziennego zarobku składają do kasy wspólnej po 3 centimy. Obecnie towarzystwo liczy 25,000 członków i posiada milion franków kapitału.

W uniwersytecie dla kobiet w Hollovay od następnego semestru będą otwarte pełne kursy na wszystkich wydziałach. Profesorki są już wybrane. Dotychczas wakuje tylko posada rektorki, tak zwanej „Lady principal“ z pensyą 1,000 f. szt. oprócz mieszkania, światła, opału itd. Rektorka ma być wybieraną co sześć lat.

Pasza w lasach rządowych. Na mocy rozporządzenia ministeryum dóbr państwa, włościanie w Królestwie Polskiem otrzymali pozwolenie pasania bydła w lasach rządowych za pewną opłatą przy zachowaniu odnośnych przepisów. Włościanie, życzący korzystać z tego prawa na przeciąg bieżącego roku, winni najpóźniej do dnia 10 (22) marca zawiadomić o tem miejscowych leśników i oznaczyć ilość bydła, jaką paść zamierzają. Po upływie tego terminu pozwolenia nie będą wydawane.

Zniesienie prasy. W Maroko prasa peryodyczna została zniesiona na mocy rozkazu sułtana. Przyczyną wyroku było to, że „nie przestają pisać przeciwko mądrym, sprawiedliwym i łagodnym rozporządzeniom ministrów marokańskich.“

Fabryka hydrauliczna nowa została otwarta w Warszawie przez dwóch specyalistów krajowców.

Żegluga na Dnieprze. Minister skarbu zatwierdził ustawę drugiego towarzystwa żeglugi parowej na Dnieprze i jego dopływach. Założycielami towarzystwa są bracia Brodary. Przybędzie 8 nowych parowców, płytko zanurzających się.

W Pińsku pożar zniszczył 25 domów ze sklepami Straty wynoszą 250,000 rs.

Kasy zaliczkowo-wkładowe. W Grójcu towarzystwo zaliczkowo-wkładowe liczy 586 członków. Majątek w kapitale udziałowym wynosi 16,779 rs. i w rezerwie 1,445 rs. Towarzystwo korzysta z kredytu w Banku państwa 10,430 rs. i w Towarzystwie wzajemnego kredytu 4,040 rs. Na zaliczeniach u 28 członków posiada 48,[illegible]75 rs. Czysty zysk wynosi 1,963 rs., brutto 6,197 rs.

— W Klecku, pow. słuckim gub. mińskiej, kasa zaliczkowo wkładowa, istniejąca od r. 1882, posiada obecnie kapitału obrotowego 119,950 rs. 70 k. Liczba członków doszła do 241. Dywidendę za rok ubiegły wypłacono stowarzyszonym w stosunku 7%. Towarzystwo czyni starania, ażeby można było przyjmować nadal nowych członków nad oznaczoną cyfrę — 300.

Epidemie. W Sandomierzu od grudnia roku zeszłego panuje ospa i szkarlatyna. W Zduńskiej Woli i w osadzie Staw — ospa, w Sieradzu — tyfus.

Plantacye nasion. P. Leon Pilaski, właściciel składu nasion w Warszawie, nabył majątek ziemski pod Mińskiem powiatowym i założył tam plantacye nasion zbożowych, okopowych i pastewnych.

Wystawa nasion w Kijowie. Towarzystwo rolnicze w Kijowie urządza wystawę nasion. Wiele okazów nadeszło z południowo-zachodnich i południowych gubernij.

Kolonizacya niemiecka. W Dolnikach, w Prusach zachodnich, komisya kolonizacyjna sprzedała 17 parcel kolonistom niemieckim. Główną parcelę, niespełna 400 morgów, nabył administrator wsi Hahlweg za 80,000 marek.

— Dobra Wielkie i Małe Krzycko, w W. Ks. Poznańskiem, należące do spadkobierców hr. Rzyszczewskiego, zostały ofiarowane komisyi kolonizacyjnej. Dobrami zawiadują opiekunowie nieletnich, Antoni i Janusz Radziwiłłowie. — W powiecie wągrowieckim majątki Imielinko i Michalcza sprzedano komisyi.

W Barcelonie spadł obfity śnieg. Mróz wyrządził znaczne szkody. Kwitnące drzewa migdałowe prawie wszystkie wymarzły.

Trzęsienie ziemi we Włoszech wyrządziło olbrzymie szkody. Mentona zrujnowana prawie zupełnie, 50 osób ranionych, z tych 6 niebezpiecznie. Nikt nie zginął. W Dianomarina 250 osób zabitych, wiele ranionych. W Bajardo 300 osób zabitych. W Bussana 50 zabitych, 37 ranionych. W Dianocastello 30 zabitych i wiele ranionych; w Castelaro tyleż. Z San-Remo wyjechało 12,000 osób. Szkody publiczne wynoszą przeszło 100 milionów; szkody w oliwie 7 milionów.

Zmarli. Wilhelm Troszel, znany śpiewak i kompozytor pieśni, zmarł w d. 2 b. m.

— W Rzymie d. 1 marca zmarł kardynał Ludwik Jacobini.

— Ks. Roman Czartoryski, były poseł z Ks. Poznańskiego do parlamentu niemieckiego i prezes Koła polskiego w Berlinie. Przez długi czas był przewódcą stronnictwa konserwatywnego w Księztwie. Należał do założycieli *Kuryera poznańskiego*. Prześladział dwa lata w Moabicie, a rok w twierdzy nad Renem. W czasie działalności poselskiej odznaczał się sympatyą dla ludu.

— Pietraszkiewicz, pedagog, współkierownik zakładu Górskiej — w Krakowie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Dr. A. K. w Pr. Żądany numer, jeżeli znajdziemy zapasowy, wyślemy ponownie. Wiadomy fakt poczerpnięto z innych pism—czemu nie ma być sprostowany?

Dr. T. J. Skorzystamy.

P. Stan. Jer. Zamieścimy, ale w skróceniu.

P. W. Reh. w Stanicy. Zapytaliśmy, a po otrzymaniu odpowiedzi doniesiemy.

Ogłoszenia.

— **Komitet Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra Mianowskiego** podaje do wiadomości, że w dalszym ciągu odbywających się obecnie odczytów, będą urządzone odczyty, stanowiące Seryę II-gą, w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa o godz. od 7—8 wieczór w następujące dnie:

Serya II. Przyrodoznawstwo:

1. M. Ciemniewski: Meteorologia, jej środki i cele — d. 12 marca.
2. J. Siemiradzki: Wulkanizm i jego rola w ogólnem gospodarstwie przyrody — d. 16 marca.
3. K. Kozłowski: Przemysł górniczy w dawnej Polsce — d. 19 marca.
4. B. Znatowicz: O tworzeniu się materyi żywej z nieożywionych części składowych — d. 23 marca.
5. O. Bujwid: Bakterye, jako fermenty i czynniki chorobliwe — d. 26 marca.
6. A. Ślósarski: Rośliny iglaste — d. 30 marca.
7. J. Sztolcman: Obraz życia zwierzęcego w lasach południowej Ameryki.

Bilety na powyższe odczyty w cenie po rs. 1, po k. 75, 50 i 30, oraz abonentowe po rs. 5 k. 50, rs. 4 k. 25 i rs. 3 — są do nabycia od d. 3 marca r. b. w Biurze Kasy im. Mianowskiego (ul. Mazowiecka dom W-go Kronenberga Nr. 22, od godz. 10 rano do 4 po południu), w Redakcyi „Wszechświatu“ (ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 66, dom Muzeum Przemysłu i Rolnictwa od godz. 5 do 7 wieczór), w księgarni Wendego (ul. Krakowskie Przedmieście róg Królewskiej), oraz przy wejściu na salę przed rozpoczęciem każdego odczytu.

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1** k. **50**.

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Proszę zwrócić uwagę na adres.

Transport świeżych Nasion pastewnych,

okopowych, traw leśnych, jarych zbóż siewnych

w wyborowych i wypróbowanych gatunkach

poleca nowozałożony

Specyalny Skład Nasion

K. WASILEWSKIEGO

dawniejszego współwłaściciela i założyciela firmy

Wasilewski & Pilaski,

Miodowa 18, w Warszawie, **Miodowa 18.**

naprzeciw byłego Pałacu Arcybiskupiego.

Cennik nasion, który w tych dniach rozesłany zostanie przy Gazecie Rolniczej, Hodowcy, Wieku, Słowie, Gazecie Polskiej, Kraju, Gazecie Warszawskiej i Kuryerze Warszawskim — na każde żądanie przesyła się franko pod opaską odwrotną pocztą.

Proszę zwrócić uwagę na adres.

Adres pocztowy: „**K. Wasilewski**“ Warszawa.
„ telegraficzny: „**KWasilewski**“ Warszawa.

Nakładem Księgarni

A. W. GRUSZECKIEGO

Warszawa Nowy-Świat Nr. 53

OPUŚCIŁY PRASĘ NASTĘPUJĄCE

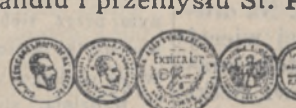
NOWOŚCI:

Prus Placówka (drugie wydanie)	1 rs. 50 kop.
Brandes Jerzy O poezyi polskiej w XIX stuleciu trzy odczyty . .	50 „
Rogoziński S. S. Wyprawa (z trzema portretami)	1 rs. 50 „
Gomulicki Wiktor Poezye	1 „
„ „ ozdobnie oprawne 1 rs. 50 kop. i	1 „ 75 kop.
Zagórski Włodzimierz Król Salonów, poemat liryczny . .	— „ 50 „
„ „ „ „ „ ozdobnie oprawne	— „ 80 „
Abramowicz S. Szkapa (die Klatsche) z oryginału napisanego w żargonie żydowskim przełożył i objaśnieniami opatrzył K. Junosza . .	— „ 80 „

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Broszurka bezpłatna



Gwarancya długoletnia

„EXSICCATOR”

Zabezpiecza **wszystko co z drzewa od gnicia**, niszczy **grzybek drzewny**, osusza **wilgoć** w starych domach i zabezpiecza **nowe**. **Dezinfekuje.** Zastępuje **olejną farbę** we wszelkich kolorach i **tańszy** od tejże o 50%.

Inżynier **RITTER**, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuję agentów.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Февраля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.